Nr. 285. Lwów — Wtorek dnia 10 Grudnia. Rok 1895.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . 4 ct.
na Prowincyi . . . 6 „
Num. z poprzednich miesięcy po 10 ct.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i w Austryi miesięcznie 1 [illegible]
w Niemczech [illegible]
w innych państwach [illegible]
Za zmianę adresu opłaca się 20 ct.
Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.

Dziś: Wt. | NMP. Loretańskiej | Stefana M.
Jutro: Śr. | św. Damazego | Paramona

Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: LUDWIK MASŁOWSKI.

Wschód słońca g. 7 m. 46 | Zachód „ „ 3 „ 59

Długość dnia g. 8 m. 13 | Ubyło dnia od wczoraj 1 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 9 grudnia.

Wprowadzenie języka rosyjskiego do kościołów katolickich, sprzeczne z umowami petersburskiego rządu z Apostolską Stolicą, sprzeczne także z ideą o religijnej tolerancyi, jest zawsze dążeniem rosyjskiej władzy w Królestwie Polskiem i wszędzie, gdzie są katolickie kościoły. Świeżym dowodem na to jest okólnik jeneralnego gubernatora hr. Szuwałowa, wystosowany do wszystkich proboszczów i administratorów parafialnych, nakazujący im oznajmić wiernym z ambony bezwarunkowo po rosyjsku, że przyszła na świat wielka księżniczka Olga. W okólniku powiedziano, że żaden zarzut przeciwko odczytaniu tej wiadomości w języku rosyjskim nie będzie uwzględniony, a samo rozporządzenie musi być wykonane niezwłocznie. — W rzymskiej korespondencyi do *Polit. Corr.* czytamy, że to nowe rozporządzenie, po niedawnem, zaprowadzającem język rosyjski w seminaryach duchownych, sprawiło w Watykanie bardzo przykre wrażenie. Rozczarowano się tam w nadziejach, które łączono ze wstąpieniem na tron rosyjski cara Mikołaja II i z zamianowaniem hr. Szuwałowa wielkorządzcą w Królestwie Polskiem. — „Papież dał żywy wyraz swemu ubolewaniu nad trwającą wciąż nietolerancyą rosyjskiego rządu względem katolickiego Kościoła" — tak kończy swą notatkę rzymski korespondent *Polit. Corresp.*

Cóżby on powiedział o gniewnych odpowiedziach szowinistycznej prasy rosyjskiej na znany naszym czytelnikom artykuł *Dniewnika Warszawskiego* o niedorzeczności russyfikacyi takiej, jaką ci szowiniści zalecają rządowi. W tym artykule przecie nie było nic, coby można nazwać ustępstwem dla naszego narodu, albo zapowiedzią jakiegokolwiek rzeczywistego zwrotu ku stosunkom, opartym na poszanowaniu naturalnych praw narodu. Jedno tylko uczyniono. Oto, powiedziano, że „w tutejszym" kraju są nie „obcokrajowcy", jak dawniej mawiano, lecz „Polacy". I to jest wszystko, bo jako ideał, do którego ci Polacy dążyć powinni, postawiono przed nimi: „czuć i myśleć po rosyjsku, przeniknąć się ideą rosyjską, złączyć się duchem z rosyjskiem społeczeństwem". Za to wszystko kiedyś rząd usunie środki wyjątkowe, zaprowadzone w ziemiach polskich. Więc za treść tego artykułu nie mogą się gniewać szowiniści rosyjscy, ale jego ton, rzeczywiście nowy, łagodny, nie traktujący nas od zdrajców i helotów skazanych na wytępienie, oburzył i *Moskiewskie Wiedomości* i *Nowoje Wremia* i *Russkoje Słowo* i zgoła wszystkie organa czynownicze. Zwymyślano *Dniewnikowi*, że nie dorósł do swego zadania; że się bawi w jakieś poezye, jak książe Wiaziemski, który zajmował w Warszawie wybitne stanowisko od 1818 do 1829 roku; że nie może być, aby tak, jak *Dniewnik*, rozumował hr. Szuwałów i pomocnik jego radzca tajny Petrow — i t. d. A w końcu zażądano, aby w kościołach katolickich zniesiono kalendarz zachodni, a wprowadzono rosyjski.

Wielki skandal odsłonił się podczas procesu prowadzonego w Londynie nad sprawą wydania, albo nie wydania Artona w ręce prokuratoryi francuskiej. Po długiej rozprawie sędzia angielski orzekł, że Arton ma być wydany. A wtedy powstał obrońca jego Newton, założył rekurs do wyższej instancyi i potem oświadczył, że francuski minister sprawiedliwości Ricard przysłał do Artona własnoręczny list przez francuskiego delegata do tej sprawy Lefèvre'a. List ten czytali: sam Newton i paryski obrońca Artona adwokat Royer i dzieci Artona. W nim była propozycya, żeby Arton wydał Lefèvre'owi wszystkie dokumenta i dał jeszcze niektóre objaśnienia, a za to minister przyrzeka złożyć trybunał i ławę przysięgłych tak, że Arton zamiast na 20, pójdzie tylko na 2 lata do więzienia, skąd jednak zaraz będzie mu ułatwiona ucieczka. Nadto otrzyma pewną kwotę na życie bez troski z rodziną. Listu tego Lefèvre z rąk swych nie wypuszczał i ma go u siebie. Pośredniczył w tych rokowaniach także szef tajnej policyi francuskiej Cochefert. Obaj ci panowie rzekli do zdumionego Newtona: „U nas we Francyi i nie takie rzeczy bywają!"

„Żyjemy tu wszyscy w naprężonem oczekiwaniu niezwykłych wypadków" — czytamy w liście z Konstantynopola do *Orientalische politische Correspondenz*: — „Trwa ponura cisza, jak zwykle przed burzą. Mgła zasłania widnokrąg i tylko w dali widać powiewające flagi na obcych okrętach. Czy one niosą nam pokój? — któż zdoła odgadnąć!"

Zapewne pokoju nie niosą. Nie po to tych flag i okrętów coraz więcej, nie po to z Anglii, Włoch i Francyi płyną na Lewant nowe pancerniki i nie po to sebastopolska eskadra pali pod kotłami, aby salwą działową oznajmić światu koniec sprawy tureckiej, koniec pokojowy, szczęśliwy dla sułtana. Jest strategiczna myśl w rozkładzie tych okrętów: angielskie i włoskie stoją przed Saloniką, francuskie w Smyrnie i Beyrucie, austryackie w ateńskim porcie Pireuście. Te ostatnie tylko nie na tureckiej wodzie, jak gdyby chciały przez to pokazać, że o ataku nie myślą. Ten sam pozór dają dwa niemieckie, będące w ciągłym ruchu. Za to tamte jakby już czyhały na to, co mają zabrać: Włosi Salonikę, Anglicy — wyspy egejskie, Francuzi — Syryę; ci do pomocy mają rosyjską eskadrę na morzu Śródziemnem. A oprócz tego tuż u wejścia do Dardanelli, przy wyspie Lemnos, stanęły po jednym okręta angielskie, francuskie, włoskie, rosyjskie i amerykańskie. Pewnie czekają one pozwolenia sułtańskiego na przejazd przez cieśninę i pojawienie się pod Złotym Rogiem. Lecz tego pozwolenia do dziś nie otrzymano pomimo wszelkich starań. Wniosek wprowadzenia drugich okrętów na wody Bosforu wyszedł od Nielidowa; z razu przeciwni byli temu wszyscy ambasadorowie, a najbardziej angielski i on też ostatni przystał na ten środek, aby nie rozbijać osławionej solidarności mocarstw. Następnie kiedy Porta, nie negując prawa mocarstw do wprowadzenia tych okrętów, odmówiła jednak pozwolenia, a bez niego nie można było się obejść, bo Dardanelle są zagrodzone torpedami, wówczas ambasadorowie odwołali się po instrukcye do swych rządów, które też zaczęły naradzać się między sobą, co począć. W tym-to czasie sułtan wysłał list do cara, prosząc go, aby nie nalegał, lecz wkrótce potem zamiast carskiej odpowiedzi sułtanowi, oświadczył ks. Łobanow tureckiemu ambasadorowi, iż Rosya z ubolewaniem musi iść ręka w rękę z Europą i obstawać przy postanowieniu konstantynopolitańskich ambasadorów. Wtedy i hr. Gołuchowski oznajmił przedstawicielowi Porty, że jej opór na nic się nie zda i że lepiej jest ustąpić. I to jednak nie poskutkowało, co łatwo zrozumieć, bo któż własnemi rękami zgodzi się stawiać dla siebie rusztowanie! Więc zaczęły rządy zastanawiać się nad sposobem złamania tureckiego oporu i tu podobno gabinet angielski już energicznie przemawia za bardzo delikatnem traktowaniem sprawy, aby ona drugi raz nie wypadła podług woli rosyjskiej, a wbrew rzeczywistym chęciom innych mocarstw.

Na nieszczęście Turcyi, nie może ona zasłaniać się tem, iż trwa w niej spokój i ład powrócił, a zatem zbyteczne są drugie okręty pod Złotym Rogiem. W Armenii znowu były rzezie. W starożytnem miasteczku Cäsarea padło dwiestu Ormian. W Hassan-Kale pod Erzerumem mordy trwały dobę, odcięte głowy noszono na drągach, zburzono domy ormiańskie, spalono klasztor i w nim zabito wszystkich mnichów, a między nimi biskupa erzerumskiego. Hordy Kurdów wpadły do okręgu siwaskiego i niszczą go ogniem i mieczem tak zajadle, że naprzykład tam, gdzie stało miasto Zile, zostały tylko dymiące rumowiska. Lecz nie tylko dzieje się tak w Armenii, bo znacznie bliżej ku zachodowi, tam, gdzie niegdyś było państwo Cylicyi, a dziś wśród muzułmańskiej ludności mieszkają gdzie niegdzie w osobnych wioskach Grecy, rozszalały fanatyzm niszczy, pali, morduje wszystko, co chrześcijańskie i szerzy na okół taką trwogę, że stolica tego kraju Konia, zaludniona przeważnie przez różne chrześcijańskie plemiona, z godziny na godzinę czeka swego końca i sama bronić się myśli, wały sypie, obywateli uzbraja, jak może, aby przynajmniej drogo oddać życie.

W samym Konstantynopolu dziwnie zmieniają się prądy, czyniąc z wczorajszych mężów stanu i najbardziej zaufanych doradzców sułtana ludzi ściganych, jako zdrajców. Niedawno sułtan wezwał z Londynu niejakiego szeika arabskiego Dżemall-Eddina-Afganiego, który jest poddanym angielskim i członkiem kilku naukowych instytucyi w Europie. Padyszach chciał go mieć przy sobie do rady i rzeczywiście idąc za jego wskazówkami, zamianował komisye kontrolujące dla wszystkich prowincyi, postanowił dać walim (gubernatorom) pomocników chrześcijańskich, przyrzekł asygnować pieniądze na odbudowanie zniszczonych świątyń, zapowiedział reorganizacyą Porty w ten sposób, iżby stała się ona rodzajem senatu, posiadającego prawa, przysługujące dotąd wyłącznie sułtanowi. Nagle Dżemall-Eddin wpadł w niełaskę; kazano mu natychmiast opuścić Turcyę; potem zamierzono go nawet uwięzić, ale on oddał się pod opiekę angielskiej ambasady i pod osłoną jej urzędników wyjechał do Szwajcaryi. Drugi wypadek jest jeszcze bardziej rażący. Były wielki wezyr Said-basza, zwany Kuczuk (pękaty), chociaż nie piastuje żadnego urzędu, lecz był wzywany do wszystkich narad, pełnił poselstwa od sułtana do konwentu ambasadorów, wspólnie z ministrem spraw zagranicznych Tewfikiem rokował z nimi w sprawie przepuszczenia przez cieśninę dardanellską drugich statków stacyjnych. Wtem wyszedł rozkaz uwięzić go razem z jego synem i natychmiast postawić przed sądem doraźnym pod zarzutem knucia spisków. Wiadomo w Konstantynopolu, co to znaczy. Wyjście z tego sądu jest zawsze tylko jedno: na barkę, która wnet odbija od brzegu i znika na morzu Marmora, a po jakimś czasie wraca na swe miejsce pusta. Więc Said, dowiedziawszy się, że wnet przyjdą po niego, uciekł z synem do angielskiej ambasady, a ta, nauczona doświadczeniem, odmówiła rządowi tureckiemu, który domagał się wydania zbiega. Bo tak samo w roku 1881ym postąpił były wielki wezyr, a potem na wygnaniu gubernator Smyrny Midhat-basza: kiedy miano go aresztować na rozkaz teraźniejszego sułtana, schronił się do francuskiego konsulatu. Francya otrzymała od Porty przyrzeczenie, iż Midhat będzie traktowany z należnemi mu honorami, i potem go wydała. A jego zaraz postawiono przed jakimś tajnym sądem i skazano na śmierć za to, że opracował konstytucyę, którą sułtan podpisał, lecz później cofnął. Dopiero pod naciskiem ambasadorów darowano Midhatowi życie, lecz skazano go na wygnanie do Taify pod Mekką, gdzie wieczna panuje zaraza — i tam w trzy lata potem umarł.

Wreszcie o samym sułtanie zaczynają krążyć wieści, że popadł w niebezpieczne rozdrażnienie nerwowe, sam nie wie, co robi, i nikt nie może zgadnąć, co mu za chwilę przyjdzie do głowy. Ma to być dziedziczna choroba, jak szepczą w Konstantynopolu. Jego brat i poprzednik na tronie Abd-Ul-Azis także w skutek rozdrażnienia nerwowego zginął w sposób dotąd niewyjaśniony; wiadomo tylko, że podobno nożycami przeciął sobie żyły. Jego drugi brat, Murat, który po tamtym powinien był panować, żyje dotąd, zamknięty jako waryat. Wreszcie sam Abd-Ul-Hamid zdawna uchodzi za chorobliwie wrażliwego i za przekonanego o swej nieomylności, z którego-to właśnie powodu tak trudne są wszystkie zabiegi o naprawę tureckich stosunków. Jednak od wszelkiej wrażliwości i od wysokiego mniemania o sobie daleko jeszcze do stanu, uważanego już pospolicie za umysłową chorobę. Jeżeli tedy zaczynają o niej krążyć pogłoski, to widocznie chodzi komuś o to, aby w mniemaniu świata nie było w Turcyi nic zgoła zdrowego. Powtarza się to, co było na początku roku 1876go, bo wtedy była konferencya ambasadorów, a teraz jest ich konwent — i tak samo krążyły wieści o umysłowej chorobie sułtana i tak samo również dyskutowano nad sprowadzeniem drugich statków. Ale wtedy wyraźnie szło ku wojnie, teraz zaś — jak powszechnie mówią — wielkie mocarstwa stanowczo jej nie chcą i dlatego kwestya drugich statków ma być traktowana łagodnie i powoli. Dlaczego jednak jej nie zaniechać? Dlatego, że oprócz wielkich mocarstw są małe dokoła Turcyi i że są wzburzone narodowości w państwie sułtana, one zaś nie troszczą się ani o pokój europejski, ani o całość Turcyi, jeno o siebie, a to jest taka okoliczność, która może omylić najsubtelniejsze rachuby dyplomacyi i najsilniejsze przekonanie, że sprawa turecka da się jeszcze pokojowo załatwić. Zdaje się, że to miał na myśli Fortis, gdy w izbie włoskiej, przed zamknięciem dyskusyi o polityce zagranicznej, rzekł w odpowiedzi Rudiniemu: „Z naszej strony byłoby głupotą, nawet samobójstwem, gdybyśmy wystąpili w roli niewinnego baranka wówczas, gdy Turcya sama nie potrafi się utrzymać i padając, rozbudzi we wszystkich szalony apetyt."

Oświadczenie hr. Badeniego

w kwestyi urzędniczej.

Na sobotniem posiedzeniu komisyi parlamentarnej, wyznaczonej dla uregulowania pragmatyki służbowej urzędników, złożył prezes gabinetu hr. Badeni oświadczenie, które cały stan urzędniczy zapewne z największą wdzięcznością przyjmie, gdyż uprawnia go ono do pięknych nadziei na przyszłość.

Oświadczenie hr. Badeniego dotyczy pięciu punktów, a mianowicie: uregulowania płac, uregulowania emerytur, prawa dyscyplinarnego, kwestyi awansów, wreszcie znanego reskryptu hr. Kielmansegga o prawach politycznych i obowiązkach urzędników. Ustęp o płacach urzędniczych ma z tego względu doniosłe znaczenie, że po raz pierwszy naczelnik rządu nie użył wyrażenia „regulacya płac", którego używali dotychczas zawsze reprezentanci rządu, gdy była mowa o tym przedmiocie, tymczasem hr. Badeni mówił wprost o „podwyższeniu" płac. Wedle zapewnienia hr. Badeniego, prace nad tą sprawą postąpiły tak dalece, że gotowy projekt ustawy wniesiony zostanie w Izbie w tej chwili, gdy tylko zapewnione będą potrzebne środki finansowe. Prawdopodobnie jeszcze przed tą ustawą wniesiony zostanie w Izbie projekt podwyższenia emerytur. Wedle wywodów hr. Badeniego bowiem, podwyższenie pensyi urzędników jest sprawą konieczną i pilną. Wszelako podwyższenie emerytur, a zwłaszcza pensyi wdów i sierót jest sprawą wprost niecierpiącą zwłoki. Rodzina bowiem urzędnika, której śmierć zabierze jej żywiciela, należy dziś do najnieszczęśliwszych. Wymiar pensyi wdowich i sierocych pochodzi z owych dawnych dobrych czasów, kiedy to za srebrnego cwancygiera cała rodzina mogła sprawić sobie ucztę, wśród dzisiejszych zaś stosunków pensye wdowie i sieroce nie wystarczają nawet na to, aby o chłodzie i głodzie żyć w sposób nie uwłaczający godności stanu. Pensye wdowie w przeważnej części nie dosięgają nawet 400 zł. rocznie, a bardzo wiele wdów nie otrzymuje nawet 300 zł. rocznie. Dodatki zaś aktywalne urzędników nie są tak wielkie, ażeby urzędnik, ojciec rodziny, mógł z nich za życia robić jakiekolwiek oszczędności, to też śmierć jego oznacza niemal z reguły dla rodziny najskrajniejszą nędzę.

Otóż te stosunki, wedle zapewnienia hr. Badeniego, muszą się zmienić i to niebawem. Bardzo ważnem i zajmującem jest także oświadczenie hr. Badeniego w sprawie przepisów dyscyplinarnych. Owóż hr. Badeni rzekł, że rząd uznaje w tej sprawie kompetencyę Rady państwa i że wniesie niebawem odnośny projekt ustawy. A zatem hr. Badeni zajął w tej kwestyi stanowisko zasadniczo odmienne, aniżeli poprzedni rząd hr. Taaffego. Oświadczenie bowiem złożone w tej sprawie przez hr. Taaffego w dniu 24 maja 1886 r. było interpretacyą konstytucyi w tym duchu, iż wydawanie i regulowanie przepisów dyscyplinarnych dla urzędników nie należy do kompetencyi Rady państwa, tylko wyłącznie do zakresu działania władzy wykonawczej. Co się zaś tyczy żądanego przez jednego z posłów wydania przez Radę państwa przepisów o awansach urzędników, to każdy obznajomiony ze stosunkami urzędowymi musi przyznać słuszność oświadczeniu hr. Badeniego, iż prawo nominacyi i awansowania urzędników musi być zastrzeżone wyłącznie rządowi. Posuwanie urzędników do wyższych stopni płacy w tej samej randze odbywa się i dziś po kolei w miarę lat służby, wszelako nie można rządowi odbierać prawa posuwania urzędników do wyższych rang, gdyż on jest powołanym do dobierania sobie odpowiednich sił. Zresztą automatyczne posuwanie jednostek do wyższych rang nie zgadza się nawet z całą organizacyą służby państwowej.

Co się tyczy wreszcie reskryptu hr. Kielmansegga, oświadczył hr. Badeni, że reskrypt ten nie sprzeciwia się wprawdzie ustawom zasadniczym państwa, zatem wyraźne kasowanie go jest niepotrzebne, wszelako sądzi hr. Badeni, że wydanie tego reskryptu było niestosowne, gdyż wyrażał on tylko to, co się samo przez się rozumie, a zatem tych, którzy nie dali powodu do upomnienia, mógł tylko zadrasnąć, innym zaś nie mógł na seryo przeszkodzić w ich agitacyach. Dzisiejszy rząd według deklaracyi hr. Badeniego jest tego zdania, że celem tego reskryptu nie było bynajmniej, jak sądzono, postawienie urzędników i nauczycieli poniekąd pod dozór policyjny, i dlatego poszczególne ministerya wydały już podwładnym sobie władzom instrukcye, iż nie potrzeba przedkładać ministerstwu peryodycznych raportów o zachowaniu się urzędników i nauczycieli.

Krakowska szkoła sztuk pięknych.

Jedna z osób kompetentnych wypowiada o teraźniejszym stanie tej szkoły następujące zdanie:

„Przed laty przeszło dwudziestu oderwano tę artystyczną instytucyę od szkoły techniczno-przemysłowej i nadano jej charakter pośredni między szkołą niższą a akademią. Na szczęście powierzono kierownictwo Matejce. Taka była jego sława, takie znaczenie w artystycznym świecie Europy, taka nareszcie potęga jego indywidualności, że nawet mimo zasad austryackiej biurokracyi wyrobił on sobie i swej szkole osobne, prawie niezależne stanowisko. Przewodniczył on niemal akademii, jakkolwiek środki finansowe nie upoważniały go do tego. Była

4)

NIEDYSKRECYA

NOWELA

przez **Wincentego hr. Łosia**.

(Ciąg dalszy).

Oczy czikosa zabłyszczały.

— Wiem już! — zawołał z radością — mój lśniący i na źrebcach znający się panie. Tak! Możliwem jest to, bo ten koń rzeczywiście ma inną od wszystkich głowę... bo ucho ma tak małe, jak żaden w mojem stadzie, a połączenie u niego szyi z głową jest delikatniejsze od szyi najpiękniejszej odaliski z haremu wielkiego sułtana.

— Tak! to ten! — podchwycił z zapałem Bela.

Czikos odwrócił się i zawołał do pasących konie:

— Ha! Schwytajcie mi prędzej od strzały Abugörö młodego, co go rodzi Abdul-Séreny i Eli-Katina..

— Czikosy się rozbiegli, a Sölömy król czikosów mówił do Czákvara:

— Jakem syn keczmeckiej puszczy, jakem rodowity czikos, biję tobie czołem, lśniący panie... Już ja mam wprawne oko, ale bym ze stada wielkiego jak moje nie wybrał w nocy najpiękniejszego źrebaka. Abugörö liczy piąty rok życia. Tej jesieni miał już stanąć na stajni w Csent Horce i nie powrócić na puszczę. Jak puszczę keczmecką kocham, tak ci się klnę lśniący poruczniku, że odkąd hoduję dzieci Abdul-Séreniego, to Abugörö jest najurodziwszym z nich. Ale, bo też matka jego...

Urwał, bo czikosy prowadziły Abugörö. Trzech ich uczepiło się u linki, przewiązanej przez nozdrza parskającego konia, który ich niósł, jak piórka, siłą tylko swej lśniącej złotem i purpurą, jak aksamit gładkiej, powleczonej tysiącem widnych po przez delikatną skórę żył i żyłek szyi.

— Cud! nie koń — zawołał czikos.

— Cud! nie koń! — powtórzył, zapominając się Czákvar. Ale on nie pytał, jaką zań Sölömy położy cenę, on tylko, jak prawdziwy madziar widział bliski przed sobą tryumf na Redödym, a jako huzar czwartego pułku zapominał o wszystkiem, patrząc na rumaka.

Ten był takim, jakim go opisał, oczy zrywał, olśniewał, oszałamiał.

Targ nie trwał długo i słońce dopiero co wychylało się z za płaszczyzny, wyglądającej na dywan pokryty szmaragdami i brylantami gdyśmy już powracali do obozowiska. Za nami kroczył Abugörö, kroczył? ha! tańczył, chrapiąc i fruwając ogonem, podrywając prowadzących go czikosów.

Całe oficerskie grono wyszło naprzeciw nas z pułkownikiem i uśmiechniętym Redödym.

Obstąpili konia, którego w tej chwili uderzyło wynurzające się z za horyzontu słońce. Podniósł on głowę, stanął spokojnie i wlepił wzrok w olśniewającą tarczę, jak gdyby ją pierwszy raz widział. Bo też tu ją pierwszy raz widział na uździe.

Stał nieruchomy, imponujący, przepiękny proporcyą kształtów, olśniewający swą szatą. Najgłębsza cisza panowała dokoła niego. Każdy z oficerów obejmował wzrokiem konia, a z oczu każdego widać było, iż szukał w nim wady, czy defektu. Każdy go obchodził ze wszystkich stron i badał, aby wydać bezstronny sąd, na który czekali dwaj przyjaciele, wściekli na siebie w tej chwili i iskrzący wzrokiem. Czákvar uśmiechał się i Redödy również. Jeden i drugi zdawał się być pewnym zwycięstwa, jeden i drugi co chwila spoglądał na zgromadzonych, którzy zaklęcie milczeli.

— A więc — zawołał Gyula, nie umiejący się powstrzymać — mówcie, do stu piorunów, który jest piękniejszy?

Na te słowa pierwszy odezwał się i zapytał pułkownik.

— Jak się zowie ten koń?

— Abugörö!

— Abugörö jest więc, według mnie, najpiękniejszym koniem, jakiego w życiu widziałem — odparł poważnie.

— Tak! — zawołali wszyscy jakby jeden.

— Tak! powtórzyli po chwili i ci jeszcze, którzy się z wyrokiem wahali.

Gyula zagryzł usta do krwi, a jego śniada twarz pokryła się purpurą, a oczy jego prawie łzami nabiegły.

Chciałem powstrzymać Belę, by się zadowolnił niemym tryumfem, ale ten spostrzegłszy, że zdanie co do piękności Abugörö jest jednogłośnem, zaśmiał się w przystępie szalonej radości i nie widząc zgnębionej miny przyjaciela zawołał:

— A więc to ty Gyula Redödy! znasz się na koniach, jak Anglik na papryce... — ha! ha! ha!

Śmiech jego brzmiał wśród ciszy, bo każdego przerażała mina Gyuli, który uczynił nad sobą nadludzki wysiłek, aby nie usłuchać podszeptów w tym momencie swej dzikiej madziarskiej natury.

Oparł się na pałaszu i wycedził przez ściśnięte zęby:

— Tak! ja, ja! — powtórzył.

To „ja" wymówił tak dziwnie, tak zaciekle, iż niejednego z nas zastanowił.

Ruszyliśmy z miejsca, by zakończyć co rychlej tę scenę. Wtedy Galavicini przysunął się do mnie i szepnął:

— Skończyła się przyjaźń tych dwu cyganów. Od dziś będą oni najzaciętszymi wrogami. Gdyby Abugörö był kobietą, — nie koniem, zostawilibyśmy jednego trupa na Keczmeckiej puszczy.

W chwilę potem trębacz pułkowy nucił sygnał.

— Na konia sia-daj!

A mało co jeszcze później maszerowaliśmy. Redödy zagryzał wargi i podnosił głowę, by nie pokazać burzy, jaka grała w jego namiętnej piersi, a Czákvar ironicznie się uśmiechał i szukał jego spojrzenia.

A Abugörö przyczepiony na rzemieniu, ściskającym mu chrapy, do wierzchowca sługi Beli, — kroczył w lansadach z tyłu za pułkiem i oglądał się co chwila za siebie, gdzie złote stado przedstawiało coraz mniejszą w zieleni plamkę.

Oficerowie nie powrócili dnia tego do humorów.

Ja sam byłem przygnębiony. A ile razy spojrzałem na ponurego Gyulę, to mi w oczach i myśli stawał Abugörö, który, jak nie zwierzę, takie namiętności rozniecił w cygańskiej naturze przyjaciela.

IV.

Sombor wówczas był gwarny i ludny. Spokojni mieszkańcy krajów, ogarniętych powstańczym ruchem, chronili się do miast, leżących w Węgrzech i Styryi, Austryi i Kroacyi. Sombor liczył się do siedzib, najwięcej przez nich poszukiwanych. Zastaliśmy w niem zbiegłych panów z Bośnii i Hercegowiny, bogaczy z Banialuki, Serajewa, Mostaru, Trebini i Bazaru. W niedużem więc mieście panowało życie w pełni, które urozmaiciło tylko wejście „lśniących huzarów", a równocześnie z tem ogłoszenie Somboru w stanie oblężenia.

Nazajutrz bowiem po naszem rozkwaterowaniu się w tem mieście, zostało ono poddane wyjątkowym prawom wojennym. Życie towarzyskie jednak na tem nie cierpiało. Owszem wyjątkowe warunki dodawały mu uroku owocu zakazanego.

Między cudzoziemcami, bawiącymi w Somborze, znajdowała się zamożna rodzina bośniacka, złożona z państwa Teszanjich i ich córki, uchodzącej za pierwszorzędną piękność typu czysto wschodniego. Familia ta zbiegła z Serajewa, gdzie się liczyła do arystokracyi miejscowej.

Panna Titäa Teszanj była bezzaprzeczenie pięknością dla tych, którzy namiętny typ kobiecy, pospolity w haremach Wschodu, na piedestale urody niewieściej stawiają.

Jej olbrzymie, lubieżne i powoli obracające się w powiekach czarne oczy, miały tę ociężałość odalisek, za którą przepadają niektórzy mężczyźni. Cera jej śniadego ciała była gorącą, jak gorącym był koloryt jej czarnych włosów i jej rubinowych warg, za któremi świeciły białe zęby.

Panna Titäa była przytem typem wschodniej kobiety we wszystkiem. Wstawała około zachodu słońca, chodziła bardzo mało, jadła sorbety i uważała, że życie najmilej spływa na tureckim szeslongu, na słuchaniu bajek jej panien służebnych.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ednak i odwrotna strona medalu. Matejko, wielki i wprost genialny romantyk, nie znał prawie innego malarstwa, jak historyczne, prowadził uczniów w tym wyłącznym kierunku. Prądy odmieniały się tymczasem: pejzaż, malowanie ludu, malowanie całego zewnętrznego świata i całego wewnętrznego świata osobistych uczuć — oto, co zapanowało w Europie, oto, co pociągało młodzież. Matejko nie znał tolerancyi, walczył jakiś czas, a potem z boleścią zobojętniał. Ludzie o tak wybitnej indywidualności nie zawsze są dobrymi kierownikami dla późniejszych pokoleń. Uczniowie Michała Anioła — biorę świeże a wyraźne przykłady — karykaturowali tylko jego pomysły. Z pracowni Rubensa wyszedł tylko jeden wielki artysta Van Dyck, a jeżeli nie ścisła historya, to przynajmniej legenda, twierdzi, że między mistrzem a uczniem panowało silne rozdwojenie. Matejko znużył się już latach, bo widział, że talenta słabe naginać, ale silnych nie pchnie na swoją drogę. Dochował się jedynie — Styki.

Kiedy przed dwoma laty genialny twórca „Skargi" zamknął oczy, Szkoła pozostała bez kierunku. Panował w niej system pedagogiczny, ducha artystycznego nie było. Popierano ucznia, który odznaczał się pilnością i pracą, i mógł się wykazać świadectwem dobrego egzaminu z anatomii, historyi sztuki lub perspektywy. Kształcono przyszłych nauczycieli rysunku dla gimnazyów, nie wyrabiano artystów.

Opróżnioną posadę dyrektora chciano powierzyć Henrykowi Rodakowskiemu, malarzowi, który na wiele lat przed Matejką — choć nie tak silnie — rozniósł po świecie sławę naszej sztuki. Miał on niezwykłą umysłową kulturę, znajomość europejskiej artystycznej produkcyi, tolerancyę nawet wobec kierunków, którym jego pojęcia nie odpowiadały. Posiadał nadto głośne imię; Eugeniusz Delacroix był jego przyjacielem, a gdyby jego nominacya była doszła do skutku, zagraniczni malarze wiedzieliby, kto to objął dyrekcyę naszej Szkoły sztuk pięknych. Nominacyi tej przeszkodziła tylko śmierć.

Tymczasowe kierownictwo objął p. Władysław Łuszczkiewicz, rzeczywisty członek Akademii umiejętności. Nazwisko jego jest powszechnie znane; wiadomo wszystkim, że na polu dziejów naszej architektury nie ma on równego sobie. Wiadomo także, iż niejednokrotnie położył podwaliny pod dalsze studya z zakresu dziejów naszego malarstwa lub rzeźby w epoce wieków średnich i Odrodzenia. Nie wszyscy natomiast wiedzą, że Władysław Łuszczkiewicz był niegdyś czynny jako malarz; że do jego uczniów w krakowskiej szkole, w której przez lat blisko czterdzieści zajmował stanowisko profesora rysunku i malarstwa, należeli Matejko i Grottger. Od wielu lat jednak odłożył on pendzel na bok, i w tem mieliśmy przyczynę, dla której wyszedł ze szkoły, zreorganizowanej pod dyrektorem Fałatem.

Szukano przez długi czas człowieka, godnego posady kierownika; udawano się podobno po kilkakroć do Józefa Brandta. Ten zaś oświadczył, że najodpowiedniejszym jest Julian Fałat. Wielu ta nominacya zdziwiła w Krakowie. Okazuje się jednak, że doświadczony mistrz monachijski dał dobrą radę. Nowy dyrektor przyniósł ze sobą zaprzód sławę; nie mam tu na myśli jego stanowiska na dworze niemieckiego cesarza, tylko raczej to, że niezależne stowarzyszenie niemieckich artystów wzywa go do *jury* swoich wystaw, powierza mu na nich urządzanie całych oddziałów (np. węgierskiego w roku 1896), najlepsi współcześni malarze nad Spreą i nad Izarą uznają w nim znakomitego artystę. Sprawozdawcy paryskich salonów podziwiają jego koloryt, a jeżeli gdzie w Niemczech [illegible] należy [illegible]. My sami zresztą wiemy, czem jest Fałat: artystą nowożytnym bez cząstki nowoczesnych dziwactw, kolorystą subtelnym, który dla „plamy" nie zaniedbuje rysunku, jednym z największych u nas przedstawicieli rzeczywistego malarstwa.

Ale nowy dyrektor ma jeszcze inne zalety przed sobą. Przeszedł sam twardą szkołę, obijał się powoli do sławy, uznania i chleba. Miał już ten chleb w ręku, posiadał dyplom inżyniera w kieszeni, i nagle — pod wpływem sławy w Monachium w roku 1879 — porzucił pierwotny zawód, aby się w sztuce wykształcić. Fałat będzie rozumiał swych uczniów, ma wszelkie dane, aby artystę od [illegible] odróżnić.

Szkoła, którą w Krakowie zastał, była spokojnym trybem przemysłowej, rękodzielniczej szkoły. Istniały w niej od czasu Matejki kursa na kształt klas gimnazyalnych. Kto przez cały rok pilnie uczęszczał na rysunek z antyków, bywał przeniesiony na rysunek z żywej natury. A kto trzy lata sumiennie rysował, dostawał się na kursa malarstwa. Otrzymywał przy wyjściu świadectwo, że przebył sześć lat w szkole, a jeżeli nie posiadał talentu, [illegible] artystyczny [illegible] z jego płótnem.

Reformy p. Fałata polegają przedewszystkiem na tem, że uczniów do [illegible] nie zmusza. Nie chce on wyrabiać artystycznego proletaryatu, a wszystkich, którzy dla chleba garną się do sztuki, aby wyjść na fotografów lub pokojowych malarzy, odsyła do szkół przemysłowych. Spodziewa się od szkoły sztuk pięknych, aby kształciła artystów: szkoła chce mieć nie licznych uczniów, ale tylko takich, co się sztuce poświęcą. Pilność dziś nie wystarcza, trzeba mieć talent, temperament, [illegible] jest [illegible]. Bo czasem, jak mówi Goethe — „Fleiss ist Genie".

Nowy dyrektor znosi również kursa, znosi [illegible] przeniesienia z jednego kursu do drugiego. [illegible] się zawodowania [illegible] kazał [illegible] patrzeć [illegible].

Na jednym kursie nagromadzono ludzi równych umiejętności i wprawy: emulacyi między nimi być nie mogło. A doświadczenie uczniowskie uczy, że artysta więcej się uczy od zdolnego kolegi, niż od najlepszego kierownika.

Stosownie do tej zasady, zniósł więc dyrektor Fałat zwyczaj przenoszenia z kursu do kursu. Ustanowił natomiast trzy równorzędne szkoły rysunku, na czele których stoją pp. Aksentowicz, Cynk i Unierzyski. Ostatni z nich mało znany, jest twórcą pięknego choć chłodnego „Zdjęcia z krzyża". Prace p. Cynka, obrazy religijne i rozmiarami drobne, ale wyborne portrety, można nieraz spotykać w Krakowie. P. Aksentowicz, portrecista pełen werwy i życia, opuścił Paryż, gdzie się chlubnie odznaczał, aby czas swój poświęcić odrodzonej szkole.

Uczeń, który okaże taką znajomość rysunku, że można mu już dać pędzel do ręki, przechodzi do jednej z dwóch, znowu równorzędnych szkół malarskich. Na czele jednej stoi p. Leopold Löffler, malarz „Śmierci Czarnieckiego" i „Obrony Częstochowy". Drugą kieruje niepospolity kolorysta, człowiek pełen nowożytnych poczuć, niezależny, samodzielny i nieraz wykwintny malarz, Leon Wyczółkowski. Na jedno zwrócę jednak uwagę. Profesorów każdej szkoły sztuk pięknych wybiera się zazwyczaj wśród ludzi doświadczonych, uspokojonych lub zużytych wśród ludzi, w których się już nic nie pali. Dyrektor krakowskiej szkoły nie poszedł tą drogą: nie mówiąc już o wybitnym pod względem malarskiej techniki talencie p. Aksentowicza, zawezwał takiego gorącego, żywego, wciąż odradzającego się artystę, jakim jest Wyczółkowski. Nareszcie powierzono oddział rzeźby p. Daunowi, pod którego kierunkiem rozwinęło się w ostatnich czasach kilka bardzo niepospolitych talentów.

Reformy, które Fałat zaprowadził, są zbyt wielkie, aby nie wywołały zdziwienia. Ten i ów, nieświadomy zadania szkoły, nie obznajomiony z rzeczywistem jej znaczeniem, wyrażał się ironicznie lub niechętnie o nowo nadanym kierunku. Jedno z pism podniosło w złośliwy sposób fakt przedłużenia szkolnych wakacyi. Zapomniało snać o tem, że Szkoła Sztuk pięknych nie jest zakładem, w którym się kształci pracowitych obywateli, ale instytucyą, w której się stwarza artystów. Artysta znaczy zaś o tyle, o ile posiada, o ile w sobie wyrobił indywidualność. Potrzeba dać młodym malarzom i rzeźbiarzom dość wolnego czasu, dość swobody, ażeby mogli pracować samodzielnie, ażeby studyami, wykonanemi podczas wakacyi zaznaczyli rodzaj i kierunek talentu.

Kto sztuki nie kocha, kto nie czuje potrzeby rysowania i malowania po za szkołą, kogo zewnętrzny świat nie pociąga, ten nie ma w sobie materyału na artystę. Dyrektor Fałat nie przyjmuje do szkoły tych ludzi, — których podczas wakacyi nie zebrała ochota do odtworzenia napotkanego typu, — ujrzanego krajobrazu.

Rysowanie z antyku, z odlewów rzezb starożytnych, było dotychczas początkiem nauki, wstępem do artystycznej karyery. Młodzi malarze nie posiadali zazwyczaj dostatecznego wykształcenia, aby zrozumieć i odczuć całą piękność starożytnego posągu. Dzieła n. p. Praxiteles'a lub Lyzippa są szczytem plastycznej twórczości: oceniają je dopiero wytrawni i dojrzali artyści.

Rysownicy Szkoły Sztuk pięknych odtwarzali dotychczas z musu kształty Wenery z Milos lub Apolina z Belwederu. I kiedy się później znaleźli w obec żywego modela, patrzyli na ludzkie ciało jak na odlew gipsowy. Widzieli w nim jednak tylko światłocień, nie widzieli tonu.

Fałat stawia uczniów odrazu przed naturą, ale nie lekceważy piękności antyku. Im więcej uczeń postąpił, im więcej umie, tem więcej musi rysować z posągów.

Zrozumienie ludzkich kształtów, umiejętność anatomii, zapoznanie się z historyą sztuki powinny skłaniać młodzież do studyowania antyku.

Po za nauką rysunku, modelowania i malarstwa istniał oddawna szereg wykładów pomocniczych, obowiązujących dla każdego ucznia. Ażeby uzupełnić wykształcenie chłopców, nieraz bardzo pozbawionych kultury, wykłada im profesor uniwersytetu, p. Wincenty Zakrzewski, historyę powszechną. Znakomity ten uczony zrósł się z krakowską Szkołą sztuk pięknych: objął on ten ważny przedmiot z chwilą, w której Matejko został dyrektorem.

Nauka perspektywy zostaje również w bardzo poważnych rękach: udziela jej p. Jan Rotter, dyrektor szkoły przemysłowej, świeżo posłem obrany. Historyą sztuki objął przed kilku laty dr. K. M. Górski, znany publicysta. Kiedy po ustąpieniu p. Władysława Łuszczkiewicza okazała się potrzeba wyznaczenia kogoś do nauki stylów architektonicznych, powierzono ją p. Górskiemu, jako nauczycielowi najbardziej pokrewnego przedmiotu. Naukę anatomii wykłada od kilku lat dr Gabryszewski, znany u nas chirurg. Podczas naukowego zjazdu, który się w ciągu minionego lata odbył w Krakowie, przedstawił dr. Gabryszewski szereg pacyentów, niegdyś z natury szpetnych, pacyentów, którym z pomocą swej sztuki lekarskiej przywrócił wygląd estetyczny. Czyż można sobie wyobrazić lepszego profesora anatomii w artystycznej Szkole?

Zakład, któremu Julian Fałat przewodniczy, jest, według urzędowego szematyzmu, szkołą niższą. Ale kierownik jej chce, jeżeli nie *de jure* to *de facto*, podnieść ją do wysokości akademii. Trudności będzie niemało, to też należy się na jakiś czas wstrzymać ze sądem. Każdy zaś widz nieuprzedzony powinien czynem, słowem lub życzeniem dopomagać wysokim, ale szlachetnym zamiarom."

Listy z Wiednia.

(Z teatrów.)

Zobojętnienie publiczności dla teatru widoczne jest na każdym kroku i to nie tylko u nas, ale w góle wszędzie, to też we wszystkich prawie nowoczesnych utworach widać jak silą się autorowie na rozbudzenie większego interesu dla teatru. Nie ma prawie pisarza dramatycznego o sławie głośniejszej, któryby nas nie chciał nas przekonać przedmowami do utworów swoich, lub osobno wydanemi rozprawami, że ma w zanadrzu leki uniwersalne przeciw obojętności widzów. Dumas i Sardou, Strindberg i Ibsen, Maeterlinck i Sudermann i wielu, wielu innych piszą nie tylko dla teatru, ale i o teatrze, a gdybyśmy wszystkich rad i wskazówek wysłuchać mieli, to zrodziłoby się w naszych pojęciach estetycznych jeszcze większe zamięszanie, niż w uczuciach i myślach widzów uczęszczających pilnie na sztuki tych różnych autorów, lub czytających utwory ich w książkowych wydaniach. Zdanie stare Schillera, że dzieło samo za siebie mówić ma, poszło w niepamięć. Przemawia za niem autor w studyach estetycznych, przemawia reklama przyjaciół, bez których nie ma dziś „komedyi" na świecie; zbyt często niestety przemawia jednak przeciw niemu aktor, reżyser i dyrektor, którzy sztukę uprawiają dla kasy, zbyt często występuje przeciw niemu i zdrowe poczucie piękna nie wymarłe jeszcze całkiem w publiczności.

Niedawno ogłosił w jednem z pism tutejszych włoski dramatyk Giuseppe Giacosa małą rozprawę o teatrze. Giacosa przepowiada, że dramat wejdzie w nową fazę rozwoju. Wielcy dramatycy przeszłości nie analizowali duszy ludzkiej na tle codziennych wypadków. Wystarczało im zagłębianie się w naturę wybranych postaci, herosów cnoty, zbrodni, odwagi, przewrotności. Tylko ludzie, których uznali godnymi bliższego zastanowienia się, wychodzili pod ich piórem w oświetleniu zupełnem wszystkich stron swej duszy. Dziś stosunki się zmieniły. Każdy człowiek i każdy wypadek wart bliższego rozpatrzenia się. Zakres dramatu rozszerzył się. Kwestye filozoficzne, przedmioty, które dawniej uprawiano wyłącznie w nowelistyce, wchodzą teraz do dramatu. Rodzi się ztąd wielka rozmaitość, tem bardziej pożądana, że na całym świecie groziło straszne wyjałowienie dramatu zacieśnionego w ramach starych. W bieżącym wieku Francuzi podnieśli technikę dramatyczną do nieznanej przedtem doskonałości; wszyscy uczyli się od nich, ale mało co nowego dodali do idei i formy dramaturgów z nad Sekwany. Sam styl kwiecisty, świetność dyalogu, dowcip nie wystarczają, ba nawet czasami nużą i utrzymać się nie mogą w obec niebezpiecznej konkurencyi publicystów piszących w pismach codziennych a silących się na krótkość, zwięzłość i dosadność wywodów, pokrewnych przeto w niejednym względzie talentem swoim dramatykom. Dramat powinien mieć formę jak najprostszą, jak najswobodniejszą a jego treścią powinno być malowidło duszy ludzkiej.

Oto krótkie streszczenie wywodów Giacosy. Nie będę tu z nimi polemizował. Jak zawsze prawie w podobnych drogowskazach na przyszłość, przewodnik dowodzi tylko tego, czego sam chce i szuka. Kwestyi filozoficznych nie radziłbym nikomu dramatyzować, bo n. p. dyalogi filozoficzne Platona, jakkolwiek mistrzowskie nie są jednak dramatami. A i dramaty Renana nie mają osób żywych, tylko świetnie dysputujące manekiny. Wprawdzie zakres dramatu rozszerzył się, ale myliłby się poeta, sądząc, że nowe dusze odkryć może. Rozszerzyły się tylko kostyumy, dekoracye, tło; walki ludzi, ich rozkosze, biedy, miłość, wiarołomstwo, despotyzm, uległość, bunty i politykowanie, wszystko to takie same dziś, jak za Sofoklesa i Arystofanesa. Gdyby inaczej było, to indyjskie arcydzieła, jak „Sakuntala", „Vasantasena" byłyby dla nas zupełnie niezrozumiałemi.

Ale zgódźmy się na razie z autorem i zobaczmy, jak on sam w ostatnim swoim jednoaktowym utworze („Prawa duszy"), wystawionym w tutejszym teatrze nadwornym, pojmuje nową psychologię dramatu.

Osoby tego dramatu nie mają nazwisk. Jest tylko Paweł i Anna, którzy rozmawiają o jakimś Ludwiku. W tym Ludwiku Anna kochała się, wyszła jednak za Pawła. Mąż Anny nigdy ani domyślił się, że straszna walka toczy się w jej sercu, nie dostrzegł, że nieraz spędza ona noce bezsenne i szarpie pościel z rozpaczy. Wziął ją za żonę i nie troszczył się o nic więcej, ona zaś dochowała mu wiary. Ludwikowi na jego zaklęcia miłosne odpowiadała, że kocha męża i że o przeszłości oboje zapomnieć powinni. Unikała więc wszelkiego spotkania z Ludwikiem, a gdy raz on zapowiedział, że jej złoży wizytę, ona umyślnie z domu wyjechała, aby się z nim nie widzieć. Ludwik skończył samobójstwem, a Paweł dowiedziawszy się o tem, dręczy swoją żonę pytaniami, w jakim ona była stosunku z samobójcą. Anna wykazuje swą niewinność listami pisanemi do Ludwika. Ale gdy mąż coraz brutalniej na nią nalega, żeby mu wszystkie najbłahsze szczegóły tłómaczyła, ona wybucha namiętnem wyznaniem: „Tak jest, kochałam go i jego tylko kochałam, tobie jednak byłam wierną i tego żałuję!" Poczem wyrzuca mu jego niezdolność odczucia jej sytuacyi i porzuca go.

Znowu więc mamy sytuacyę taką, jak w „Norze" Ibsena. Żona, niezrozumiana przez męża, długo znosi jego prawa, wreszcie odkrywa w sobie samodzielność długo gnębionej istoty i zrywa wszelkie pęta. Ale w Ibsenie jest malowidło na szeroki plan zakreślone, jest indywidualność rasy, jest bogactwo szczegółów. Giacosa wystrzega się wszelkich cech narodowych, nawet społecznych; jego osoby nie mają nazwisk, powinny zatem być takie, jakie często spotyka się na całym świecie. A czy tak jest? Możliwe jest wprawdzie podobne pogmatwanie stosunku między mężem, żoną a przyjacielem, ale to zawsze będzie wyjątkowy wypadek, a wyjątkowe wypadki usprawiedliwić trzeba koniecznie tłem, wyszczególnieniem drobnych zajść; psychologia sama nie wystarcza.

Dwie inne nowości teatru nadwornego: „Miłostka" i „Szczęście w kąciku", choć obie są utworami najnowszej szkoły literackiej w Niemczech, bardzo różne są i co do wartości i co do samego kierunku. „Miłostka" Artura Schnitzlera ma w sobie dużo poezyi. Czuć w każdej scenie, czuć w samym dyalogu szczerym a prostym, że to pisał człowiek wielkiego talentu.

Treść dramatu tego podał już *Przegląd*. Zastanowić się tu wypada tylko nad autorem i jego kierunkiem. Wraz z Hofmannstalem (Lorisem), Bahrem, Dawidem był i Schnitzler jednym z twórców nowej poezyi w Wiedniu. Ci poeci zgromadzali się niegdyś w kawiarni „Zur Kugel" w śródmieściu i odczytywali sobie swe utwory. Kilka lat minęło od tego czasu. Bahr, przerzucający się z jednego kierunku do drugiego, wielbiciel naturalizmu, potem jego zacięty przeciwnik i zwolennik dekadentów i symbolistów, których usiłował przedstawieniem Maeterlincka wprowadzić do Wiednia, spróbowawszy sił swoich w krytyce, dramacie i romansie, poświęca się dziś całkiem publicystyce. Loris, człowiek bardzo jeszcze młody, podziw ogólny obudził swoimi wierszami lirycznymi, w których znać było oddźwięki francuskich immortalistów i Baudelaire'a. Dawid i Schnitzler poświęcili się dramatowi. Schnitzler wydał przed kilku laty zbiór jednoaktówek, w których dochodził po prostu do uwielbienia „wolnej miłości". Już jednak w „Bajce", wystawionej w zeszłym sezonie w niemieckim teatrze ludowym, odwrócił się od tych niebezpiecznych tendencyi. Dramat ten był słaby i nie mógł się utrzymać, a myślą jego główną było, że kobieta upadła zazwyczaj dźwignąć się nie może, i że raz zgrzeszywszy, grzeszy dalej.

W „Miłostce" wraca poeta do założenia dawnego, że świat jest pełen smutku, że narzucił sobie więzy moralności, które odbierają wydziedziczonym wszelką radość; a więc zrywajmy te pęta, cieszmy się życiem, cieszmy się każdą chwilą. Ale nie każdy umie żyć tak, aby chwilowe wrażenia żadnego śladu po sobie nie zostawiły. Jeden bawi się miłostkami; dla drugiego stosunek początkowo przelotny, wyradza się w głęboką miłość, dramat, a czasem w tragedyę. Oto jest odwrócenie lekkomyślnej tezy o prawie używania bez skrupułów. Bohaterka „Miłostki" kocha głęboko, a kiedy kurtyna spadnie, widz odchodzi z przygnębiającem wrażeniem, że ją ta miłość — z razu lekka — zdradnie ujęła i że ją zgubiła.

Głęboka psychologia dramatu obok znakomicie odtworzonych scen domostwa kawalerskiego, mieszkania biednego przedmiejskiego skrzypka, są zaletami utworu. Nie ma w nim jednak prawdziwej akcyi dramatycznej. Jestto zupełnie nowy, rodzący się dopiero gatunek dramatu, w którym kilka scen dosadnych odsłania nam wiele nędzy, wiele walk i nieszczęścia, ale w którym zupełny brak kompozycyi starych mistrzów, wiążących wypadki w całość. Może ten nowy rodzaj odpowiada więcej prawdzie życiowej, ale teatr zwraca się do fantazyi widza i najnaturalniejsze zajścia na scenie nigdy nie zastąpią prawdy poetycznej.

Schnitzler szkicuje tylko i za wiele rzeczy zostawia za sceną. Czasami wywiera to wrażenie. Ale kto chce długo żyć i długo wpływ wywierać, ten musi bardzo delikatnie wykańczać swój utwór. Nie dość dać widzom w teatrze temat do rozmyślań. Trzeba samemu silną dłonią zbudować jasny system.

A teraz o ostatniej nowości Sudermanna. Jego „Szczęście w kąciku" jest nowem nieszczęściem dramatycznem. Sudermann, co prawda, tego nieszczęścia nie odczuje. Jak wszyscy fabrykanci czułostkowych dramatów, cieszy się ogromnem zawsze powodzeniem Iffland, Kotzebue i Birch-Pfeiffer — nazwiska znane w literaturze niemieckiej i reprezentujące ową ckliwość nadmierną, żyjącą cukrzeniem i rozwadnianiem postaci Schillera, Lessinga, Goethego i innych wielkich mistrzów — trójka ta to istni partacze w porównaniu z mistrzostwem rękodzielniczem Sudermanna. Kotzebue co prawda, miał przecież trochę dumy literackiej, a talent jego bez porównania większy od Sudermanna. Ani mu przez myśl nie byłoby przeszło w tak nędzny sposób łatać dwa różne kierunki literackie, jak to czynią pisarze nowocześni. Pisał też niektóre rzeczy z prawdziwym dowcipem, którego znowu autor „Walki motyli" nigdy nie posiadał. Sudermann z pewnością nie zdobędzie się nigdy na taką komedyę jak „Deutsche Kleinstädter" Kotzebuego, która po dziś dzień ma wartość literacką. Ale za to posiada Sudermann zdolność udawania poważnego człowieka. Kotzebue wiele swoich komedyi i dramatów kończył — jak się komu podoba — w dwojaki sposób: tragicznie i wesoło. Bohater ginął, lub poślubiał swoją kochankę, jak czytelnik, lub widz w teatrze, lub dyrektor chciał. Fabrykant starszej daty nie czuł potrzeby ukrywania się z tem przed publicznością, że jest tylko utalentowanym rzemieślnikiem.

Suderman ostrożniej zabiera się do rzeczy. Maluje najbrutalniejsze sceny a potem moralizuje. Publiczność lubi, żeby jej kto na nerwy działał, a stróże moralności publicznej lubią, jeśli się przeciw różnym występkom krucyatę dramatyczną ogłasza. W ten sposób i wilk syty i koza cała.

Ostatni dramat Sudermana jest jednak aż nadto odważny i aż nadto ostrożny równocześnie i wywołał protesty nawet ze strony najbardziej życzliwych krytyków. „Szczęście w kąciku" jest po prostu z samego tytułu już niepodobieństwem w oczach nerwowego człowieka *fin de siècle*.

Jakżeż można być szczęśliwym bez wielkich wrażeń!? Życie, które upływa bez balów, maskarad, flirtów, i bez tego wszystkiego, co ma być estetyczną przyprawą takich wrażeń, to jest bez wirtuozów koncertowych, deklamatorów, baletu, miłości granej na scenie. Słowem, życie bez pseudoartyzmu i kłamanych zachwytów nie jest szczęściem żadnem. W „kąciku" nie ma szczęścia! Namnożyło się w naszej generacyi tyle pretensyi do udziału w sztuce, że nie podobna ich zadowolnić. W Monachium powstało towarzystwo przed niespełna pół roku, które nazywa się „Teatr w kółku" i w którem poeci własne swe utwory sami grają dla siebie. Myśl niezła. Publiczności bowiem coraz mniej, a poetów, muzyków, malarzy coraz więcej. A chociaż ich może na prawdę nie ma tylu, ilu się za nich podaje, nieszczęścia, niezadowolnienia jest z tego artystycznego rozpędu aż nadto na świecie. Każdy, kto pisze, obeznać się musi z tą masą nieszczęśliwców, którzy nie mogą się dostać na Parnas i jęczą zdala od kastalskich źródeł.

To nowe wydanie odwiecznej tęsknoty za ideałami nazywa się czasem u kobiety „pragnieniem miłości". Jakiej miłości? Oczywiście nie męża, nie dzieci, nie rodziny, ale kochanka z koroną hrabiowską, z zamkiem wspaniałym, gdzie się festyny odbywają, gdzie kobieta niezdolna sercem odczuć, fantazyą odtworzyć jakiegoś dzieła sztuki, staje się sama partnerką w tragikomedyi wrzawliwego życia.

I tak rodzi się ten typ nasz współczesny, zbyt często spotykany, kobiety szukającej wrażeń „artystycznych", a nie mającej żadnych zdolności do prawdziwego artyzmu. Typ taki nakreślić i delikatnie wykończyć, byłoby nie lada jakiem dziełem.

Nie nakreślił go niestety Sudermann. Biedna sierota, młoda i zapewnie ładna, tuła się po domach krewniaków, wreszcie u przyjaciółki baronowej Röcknitz, znajduje przytułek. Mąż tej baronowej, bezczelny Don Juan, zdobywający serca kobiet wstępnym bojem a czasem przechwalający się z tego, niby jakimś przywilejem, prześladuje młodą dziewczynę i ona nie widzi innego ratunku dla siebie, jak wyjście za mąż i to za wdowca rektora Wiedemana, mającego troje dzieci. To jest tło tragedyi pani Elżbiety Wiedeman. Dlaczego Elżbieta musiała wyjść za niekochanego męża i to za wdowca o kilkadziesiąt lat od siebie starszego, nie tłumaczy nam autor. Mogła ta panna przecież przyjąć obowiązki towarzyszki u jakiejś starej damy, albo nauczycielki, albo bodaj szwaczki. Nie musiała przecież pójść do „kącika" z Wiedemanem i żyć dla swojego „obowiązku". Kto zresztą tak mówi o swoich obowiązkach, jak Elżbieta, ten ich nie spełnia. I istotnie zjawia się w jej domostwie baron Röcknitz i w sposób niezrównany w swej brutalności udowadnia jej, że teraz najlepsza pora byłaby rozpocząć romans bez niebezpieczeństw (To jest scena szkoły najnowszej). Pan Röcknitz pozyskał już rektora dla projektu osiedlenia się w jednej z wiosek rodziny barona, a teraz, kiedy oszołomioną jego namiętnością kobietę bierze w ramiona, pozostaje mu tylko nakłonić swą ofiarę, aby z mężem wyjechała na wieś. Ale Elżbieta budzi się z oszołomienia, i stanowczo temu planowi się sprzeciwia. A gdy baron nalega coraz gwałtowniej, postanawia walkę swoją między obowiązkiem a namiętnością skończyć samobójstwem. (Tu zaczyna się szkoła stara, bardzo przestarzała i bardzo ckliwa)

Gdyby jeszcze bohaterka dramatu w istocie zabiła się, byłby to jeszcze dramat jaki taki. Wprawdzie trudno zrozumieć kobietę, która ucieka przed miłością występną nikczemnika — w ramiona męża starego, a potem ćwicząc się w różnych „obowiązkach" dostaje zawrotu głowy i tego samego nikczemnika, (którego czarowi co prawda oprzeć się nie mogła nigdy) całuje bez żadnych skrupułów. Ale takie wypadki zdarzają się dość często w czasach naszych, na szczęście zawsze jeszcze częściej w romansach i na scenie, niż w życiu. Jest to prawo zdenerwowanego pokolenia postępować bez logiki i ulegać tęsknocie za „wrażeniami". Byłby to więc sobie dramat paryski z kostyumem niemieckiego barona i niemieckiego nauczyciela. Ale gniewaliby się o takie zakończenie moraliści.

A Sudermann jest przecież także moralizującym poetą. Wymyślił więc całkiem inne rozwiązanie. Elżbietę, kandydującą na samobójczynię, spotyka mąż rektor Wiederman i wybadawszy ją dokładnie, dowiaduje się, że ona go nigdy nie kochała, że kocha barona i że nie może żyć ze wspomnieniem wyznanej baronowi miłości. I cóż na to poczciwy rektor?

Oto pociesza swoją Elżbietę, opowiadając jej, że podejrzywał ją już wtedy, kiedy się z nią żenił, że była już po jakimś romansie, którego padła ofiarą i że jak wtedy zgodził się na zniesławioną — jego zdaniem — dziewczynę, tak i dziś tembardziej przytuli ją do siebie. Ta wspaniałomyślność zachwyca Elżbietę i rzucając mu się na szyję, woła ona: „Zdaje mi się, że widzę cię dziś po raz pierwszy!". Może być, że Elżbieta odkryła w tej chwili dopiero męża, ale widz pyta się, czy widziała ona po raz ostatni barona? Czy tęsknoty ustały już i czy „szczęście w kąciku" jest odtąd niezakłóconem, czy wszelkie pretensye Elżbiety są zaspokojone? Niebezpieczną rzeczą byłoby zaiste do tej sztuki jeszcze dalsze trzy, czy cztery akty napisać, niebezpiecznem dla tezy moralnej pana Sudermana!

W Rajmunda teatrze Karol Hauptman, brat Gerharta po raz pierwszy dał się poznać dramatem „Ludzie z lasu". Lepiej byłoby i dla nas i dla niego, gdybyśmy nie byli w ten sposób zawarli znajomości. Leśniczy Sender od wielu lat ugania się za kłusownikami i przemytnikami. Ojciec jego też prowadził taką walkę zaciętą i padł w niej ugodzony kulą jednego z przemytników. Sender dyszy zemstą, choć osiwiał już, zapomnieć nie może kolonii kłusowników rozsiadłej w lasach i ich różnych zbrodni. Pewnego zimowego poranka spotyka w lesie przewódcę kolonii Ringla, bierze go na cel i jak zwierzę dzikie zabija — mimo że Ringel ostrzega go, żeby nie niszczył takiem morderstwem szczęścia własnej córki Idy, w której Henryk syn Ringla się kocha.

Henryk na grobie ojca żegna się z Idą, grób ten wyrósł między nimi i rozdzieli ich na wieki. Wdowa po Ringlu a matka Henryka innego jest zdania, udaje się do Sendera prosić o rękę jego córki dla syna, o rękę córki mordercy swego męża! Tymczasem jednak Henryk mszcząc się za śmierć ojca, wystrzałem dobrze wymierzonym kładzie trupem Sendera i konającego zanosi do leśniczówki. Umierający Sender przebacza mordercy i żonie poleca go na syna! Wdowa Sendera prosi Henryka, aby został w jej domu. Co pierwsze morderstwo rozdzieliło, drugie spaja. Taka homeopatya (wiadomo, że homeopaci utrzymują, iż należy podobne podobnem leczyć), zbrodni na otwartej scenie, takie wymierzanie sprawiedliwości *en famille* jest po prostu chyba — szaleństwem. Ale i takie rzeczy się wystawia. *Dr. H.*

KRONIKA.

Lwów 9 grudnia.

Włożenie baretów kardynalskich. W sobotę Cesarz Franciszek Józef I włożył barety kardynalskie na głowy nowomianowanych kardynałów: księży Sembratowicza i Hallera. Kaplica w zamku cesarskim, w której odbyła się ta uroczystość, była świątecznie przybrana. Sciany pokryto czerwonym adamaszkiem, główny ołtarz otoczono kwiatami i rzęsiście oświetlono. O godzinie ½11 rano przybyli do kaplicy obaj papiescy ablegaci msr. książę Ferdynand Croy i msr. Paweł Marya Baumgarten ze swymi sekretarzami. Kuryer dworski wprowadził ich do kaplicy, gdzie ich uroczyście przyjęli kapelan dworski dr. Schnak i dyrektor ceremonii dr. Loebenstein. Ablegaci po odmówieniu krótkiej u ołtarza modlitwy, na czterech złotych tacach złożyli dwa kardynalskie barety i dwa papieskie brevia. Tace przykryto czerwonym jedwabiem.

Następnie obaj ablegaci udali się do mieszkania purpuratów, ks. Croy do pałacu arcybiskupiego po ks. Hallera, a ks. Baumgarten do starego budynku uniwersyteckiego po ks. Sembratowicza. Sekretarze ablegatów ks. ks. Compagnucet i dr. Bron pozostali w kaplicy. O godzinie 11 przybył do kaplicy arcybiskup wiedeński ks. kardynał Gruscha i nuncyusz apostolski ks. arcybiskup Agliardi.

Dwór cesarski zebrał się w salach zamku oczekując przybycia kardynałów. Po godzinie 11 przybyli nowi kardynałowie we wspaniałych karocach ze swą świtą. W pierwszych dwóch dwukonnych powozach jechał papieski gwardzista hr. Petromarchi i orszak ks. Sembratowicza, w trzecim galowym powozie zaprzęgniętym w sześć koni jechał z ks. Baumgartenem ks. Sembratowicz. Potem znów jechały dwa dwukonne powozy, w którym siedział gwardzista papieski markiz Girolamo Sacripante i orszak ks. Hallera, w trzecim sześciokonnym powozie jechał ks. kardynał Haller z ks. Croy'em.

Kardynałowie, którym warta zamkowa oddała wojskowe honory, wysiadłszy z powozu, weszli do apartamentów cesarskich, gdzie był zebrany cały dwór. Z apartamentów tych prowadzeni przez głównego mistrza ceremonii hr. Hunyady'ego i ochmistrza dworu hr. Trauttmansdorffa ablegaci papiescy weszli do kaplicy. W zakrystyi włożyli na siebie szaty kościelne i udali się na swe miejsca w prezbyterium. W kilka chwil potem najwyższy ochmistrz dworu zapowiedział przybycie Monarchy.

Cesarz, poprzedzony przez dwór i kardynałów, którzy szli tuż przed Monarchą, ubrani w fiolety biskupie i piuskę kardynalską na głowie, wszedł szpalerem utworzonym przez gwardye cesarskie do kaplicy. Kapela nadworna przy wejściu kardynałów i Cesarza zagrała tusz. Cesarz usiadł na tronie umieszczonym na prawej stronie ołtarza. Po prawicy tronu zasiedli ks. kardynał Gruscha i nuncyusz papieski, oraz gwardziści cesarscy. Nowi kardynałowie z ablegatami zajęli miejsca przy jednym z bocznych ołtarzy. Kaplicę całą przepełnili najwyżsi dygnitarze dworscy, ministrowie, reprezentanci duchowieństwa, władz, wojskowości, posłowie itp.

Gdy wszyscy zajęli swe miejsca, ks. kardynał Gruscha w licznej asyście odprawił mszę św. Po mszy św. wstał Cesarz z klęcznika, usiadł na fotelu i skinął głową na znak, aby rozpoczęła się właściwa ceremonia. Ablegat msgr Baumgarten wziął ze stołu breve Ojca św., przystąpił do tronu, trzy razy nisko się skłonił przed Monarchą i przemówił do niego kilka słów po łacinie, prosząc o pozwolenie na odczytanie breve. Następnie ukląkłszy, podał breve Monarsze, który dotknął się go ręką i wyrzekłszy „Legatur", polecił je odczytać. Ksiądz Baumgarten rozwinął wówczas zwinięte w rulon breve i głośno je odczytał, poczem wręczył je ministrowi ceremonii dworu Löbensteinowi.

Taka sama ceremonia odbyła się z odczytaniem drugiego breve. Po odczytaniu obu breve ablegaci wzięli tace z baretami i wręczyli je Monarsze. Obaj kardynałowie zbliżyli się wówczas do tronu i uklękli na najwyższym jego stopniu. Cesarz wstał z fotelu, włożył na głowę generalski pióropusz, a następnie pierwszym baretem nakrył głowę ks. Sembratowicza, drugim ks. Hallera. Po otrzymaniu baretów obaj kardynałowie podeszli ku ołtarzowi, zdjęli barety i stanęli po prawej stronie celebransa, który zaintonował „Te Deum". Po odśpiewaniu „Te Deum" ks. kardynał Sembratowicz udzielił zebranym w kaplicy błogosławieństwa. Monarcha otoczony dworem powrócił po tej ceremonii do swych apartamentów, a obaj kardynałowie udali się do zakrystyi i tam włożyli na siebie kardynalskie szaty.

Ubrawszy się, udali się do Cesarza na audyencyę i przedstawili mu papieskich delegatów i swoją świtę. Pierwszy na audyencyi był ks. Sembratowicz, drugi ks. Haller. Po audyencyi w tym samym porządku, z tym samym ceremoniałem, jaki zachowano przy przybyciu do zamku, obaj kardynałowie odjechali do swych mieszkań. Ulice prowadzące do zamku przepełniły tłumy publiczności.

Przyjęcie ks. Sembratowicza. W tej sprawie odbyło się wczoraj posiedzenie reprezentantów gminy pod przewodnictwem p. Mochnackiego. Uchwalono następujący program przyjęcia: Na dworcu oczekiwać będą przybycia ks. kardynała członkowie Rady miasta Lwowa z p. prezydentem Mochnackim na czele i tutaj już, po przybyciu ks. kardynała, powita go p. prezydent Mochnacki krótką przemową. Następnie złożą członkowie Rady hołd ks. kardynałowi w jego mieszkaniu. W dniu przyjazdu Jego Eminencyi powiewać będą z ratusza flagi o barwach miasta. Prezydyum miasta wyda do mieszkańców odezwę z podaniem do wiadomości publicznej ulic, któremi ks. kardynał będzie przejeżdżał z dworca kolejowego do katedry św. Jura i z wezwaniem, ażeby mieszkańcy Lwowa zgromadzili się na tych ulicach jak najliczniej dla powitania księcia Kościoła. Nadto wezwie prezydyum miasta cechy i stowarzyszenia, ażeby ze sztandarami zgromadziły się przed dworcem kolejowym. W tym celu zbiorą się cechy najpierw w ratuszu i ztąd o godzinie 12-tej w południe z muzyką „Harmonii" na czele wyruszą na dworzec, dokąd udadzą się powozami, również z ratusza, członkowie Rady miejskiej z prezydentem na czele. Członkowie prezydyum i delegaci Rady miejskiej wystąpią ze swemi urzędowemi odznakami. W chwili, kiedy pociąg z ks. kardynałem stanie przed peronem, muzyka „Harmonii" zaintonuje hymn papieski.

Prezentę na opróżnione rz.-kat. probostwo *regiae collationis* w Wieliczce nadało Namiestnictwo ks. Stanisławowi Twardowskiemu, dotychczasowemu proboszczowi w Rabce.

Stan zdrowia Ojca Świętego. O ostatnim konsystorzu papieskim, na którym był prekonizowany ks. Weber, piszą nam z Rzymu co następuje:

„Można powiedzieć, iż charakterystyczną cechą konsystorza dziś odbytego było niezwykłe zainteresowanie, jakie budziła osoba Ojca Świętego, okazywane zarówno przez Rzymian, jak przez cudzoziemców. Pogłoski, krążące od dłuższego czasu o stanie Jego zdrowia, były tak sprzeczne, że każdy chciał się przekonać naocznie, ile w nich jest prawdy.

Chociaż ceremonia miała się rozpocząć o godzinie 10-ej rano, sale Książęca i Królewska już o 9-ej były przepełnione widzami, których niecierpliwość przejawiała się w nieustannem falowaniu tłumu. Upał był nieznośny, gdyż w obawie, aby Ojciec Św. nie uległ zaziębieniu, ogrzano kaloryfery, a jednocześnie pozamykano szczelnie okna.

Tłum ów, poruszający się w ramach wspaniałych, przepełnionych marmurami i rzadkimi przedmiotami sztuki, nastręcza zawsze widowisko niezmiernie interesujące. Damy są tu zawsze najliczniej reprezentowane. Wydaje się, iż zgromadzone tu Rzymianki, Angielki, Niemki, Amerykanki Francuzki, wszystkie zamierzyły się w strojach z powodu, iż pobłażnie są, zgodnie z etykietą panującą w Watykanie w czarne koronki. Białe gorse i krawaty mężczyzn we frakach tworzyły białe plamy na tle, niemal jednostajnie czarnem, a najbarwniej odbijały od niego mundury gwardyi szwajcarskiej i żandarmów papieskich. Mundury te stanowiły kontrast z sutannami zakonników i zakonnic najrozmaitszych reguł.

Około godziny 10 Ojciec św. opuścił w lektyce swe apartamenty, poprzedzany i otoczony gwardyą szlachecką. Orszak przeszedł loże Rafaela i udał się do sali Paramentów, skąd bezpośrednio do sali Królewskiej. Leon XIII wziął tam mitrę i kapę, a jednocześnie utworzył się wspaniały orszak, który miał iść przodem.

Tymczasem tłumy oczekiwały z niecierpliwością. Nareszcie gdy Ojciec św. ukazał się we drzwiach sali Książęcej, niesiony na *sedia gestatoria*, dał się słyszeć formalny wybuch entuzyastycznych okrzyków: „Niech żyje Leon XIII! Niech żyje Papież! Niech żyje Papież Król!"

Zapał podwoił się, gdy rozpoczął się pochód orszaku pomiędzy dwoma rzędami gwardyi szwajcarskiej. *Sedia gestatoria* poprzedzał orszak, złożony z przeszło z trzystu osób. Obok Ojca św. postępowało 30 kardynałów.

Ojciec św., widocznie bardzo wzruszony, udzielał powoli błogosławieństwa na prawo i na lewo, później opuszczał na chwilę rękę, widocznie zmęczoną. Osoby bliżej stojące mogły przyjrzeć się dokładnie Ojcu św. Otóż zauważyły w rysach twarzy pewne zmęczenie, które ku wielkiemu zdziwieniu wszystkich, ustąpiło pod koniec ceremonii, przytem żywość spojrzenia pozostała ta sama, co i dawniej.

Koncert. Na dochód gimnazyum cieszyńskiego urządza jutro Tow. bratniej pomocy słuchaczów weterynaryi muzyczno-deklamacyjny wieczorek ze współudziałem kilku znanych sił amatorskich, jak pp. Zwierzyńskiej, Spitzerówny, Issakowicza, Klauseka, Weinredera, oraz „Echa".

Obchody. W sali „Sokoła" odbył się wczoraj wieczór mickiewiczowski, urządzony przez słuchaczy szkoły lasowej. Prócz słowa wstępnego, które wygłosił przewodniczący „Bratniej pomocy" p. Salkowski, odbyły się deklamacye i produkcye muzyczne ze współudziałem artysty p. Żelazowskiego oraz kilku sił amatorskich.

222 lat istnienia. Towarzystwo kupców i młodzieży handlowej obchodziło wczoraj 222 rocznicę swego istnienia we własnym domu przy ul. Czarnieckiego. Po koncercie zebrali się członkowie sędziwej instytucyi na bankiet, na którym posypało się kilkanaście serdecznych toastów.

Ze sfer sądowych. Adjunkt sądu powiatowego Lewiński przeniesiony został z Dukli do Leżajska. Adjunktami sądu powiatowego zamianowani zostali auskultanci dr Jan Różycki dla Białej i Karol Nowak dla Dukli. Wreszcie przeniesieni zostali adjunkci sądów powiatowych Szeliński z Kamionki do Bursztyna i Papara z Bursztyna do Kamionki.

Rzadki jubileusz. W Boryniczach w powiecie bobreckim paroch tameczny ks. kan. Jan Juzyczyński obchodził dnia 5 bm. 50letni jubileusz kapłaństwa, jako gr. kat. paroch Borynicz. Ks. Juzyczyński prezentę na Borynicze otrzymał przed 50 laty z rąk hr. Badeniego, dziadka hr. Kazimierza, teraźniejszego prezesa gabinetu.

Sztandar introligatorów. Ks arcybiskup Issakowicz poświęcił wczoraj sztandar cechu introligatorskiego, pochodzący z pracowni p. Rajskiego w Paryżu. Poświęcenie odbyło się u Franciszkanów.

Zmarli. Michał Rozwadowski-Doliniański, uczeń gimnazyum chyrowskiego, syn Bolesława i śp. Jadwigi z Żarskich, umarł w 17 roku życia.

Stan powietrza. T. o 9 rano —1° R., w poł. — 0° R. Bar. 755. Podnosi się. Śnieg.

Fin de siecle.

— Mój mężu, w tej chwili Iks przeszedł koło nas. Dla czegóż mu się nie ukłoniłeś? Tyle mu zawdzięczasz, a przytem taki człowiek wpływowy, może ci się nieraz jeszcze przydać.

— Nie bój się, nie przyda się już wcale. Jego lekarz mówił mi, że jest w ostatnim okresie suchot i że nie pociągnie więcej, jak parę miesięcy.

Teatr. Dziś w poniedziałek po raz drugi „Czech w Ameryce", krotochwila ze śpiewami i tańcami w 5 aktach B. Zapperta z muzyką Gothowa von Grüncka. We wtorek po raz pierwszy „Mira", sztuka w 4 aktach J K. Zielińskiego. We środę po raz trzeci „Czech w Ameryce".

Literatura i Sztuka.

* **Z teatru.** Przedstawiony po raz pierwszy w sobotę wodewil: „Czech w Ameryce" należy do tych utworów scenicznych, które jedynie i wyłącznie mają za zadanie bawić publiczność i o nic więcej autorom nie chodzi. Właściwe miary krytycznej do takiej rzeczy przykładać nie należy i nie można. „Czech w Ameryce" posiada 5 odsłon, przeplatanych muzyką i tańcami. Napisał go po niemiecku p. B. Zappert, a muzykę dorobił p. Gothow von Grünck. I autor wodewilu i kompozytor nie znani prawie zupełnie, przynajmniej u nas po raz pierwszy spotykamy się z temi nazwiskami. Treść wodewilu dość zużyta i trochę przypomina „Pana Biegelhofera", bo tu i tam przedstawione są ilustrowane śpiewami awantury w podróży do Ameryki i po Ameryce. Czech-piekarz jest tu głównym bohaterem, a towarzyszy mu żyd z żoną, ojciec z sześcioma córkami, których w Europie za mąż wydać nie może, więc je wiezie na wystawę piękności do New-Yorku i impresario z niemieckiemi aktorkami pragnący robić dobre interesa w Ameryce. Parowiec, którym ta kawalkada płynie, napadnięty jest i złupiony przez korsarzy, a stąd wynikają komiczne i humorystyczne, choć naciągnięte i nieprawdopodobne sytuacye, nawet wśród dzikich na jakiejś odludnej wyspie. Żywioł komiczny, o ile go autor umiał nagromadzić, wyzyskali do szczętu w głównych lub główniejszych rolach pp. Feldman, Gasiński, Walewski, Kiczman, Gostyńska, Dębicki, Kliszewski, Skalska i inni, a chóry, dekoracye, kostyumy i wesoła, choć nie zawsze świeża muzyka, dopełniły reszty. Przekład na język polski poprawny zdołał utrzymać humorystyczną barwę oryginału niemieckiego. *Iks Ypsylon.*

* **Wydawnictwa gwiazdkowe.** „Czary nie czary." Jadw. Chrząszczewska. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1896. — „W lecie." Marya Weryho. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1896.

Zbiorek „Czary nie czary" obejmuje dwanaście powiastek, a wśród nich cztery prześliczne, mianowicie: *Bal u pani żaby*, *Tocia*, *Historya o młodym juhasie i starym dziadku* i *Czarodziejska kukułka*. Wszystkie odznaczają się prostotą pomysłu i starannem opracowaniem, a *Bal u pani żaby* doskonałym humorem.

Pewnego wieczora zebrały się żaby na bal. Przyjęcie było huczne i wspaniałe; jedzenia i picia w bród; na muzykantów zaproszono świerszcze. Jedna tylko myśl mąciła wesołość biesiadników: obawa nadejścia nieprzyjaciela żabiego rodu.. bociana. Przewidująca wszystko gospodyni postawiła na straży jednę z najmędrszych żabek. Jakoż oczywiście obawy nie były płonne. Bocian, zgłodniały, przeszedłszy puste łąki i pola, trafia, zwabiony radosnem kwakaniem na miejsce uczty. Ale naprożno. Żaby w mgnieniu oka wpadły do wody, została tylko jedna, niby martwa. Bocian gardzi padliną. Żabka-strażniczka wie o tem, to też wybieg udał się wybornie ku radości wszystkich żab.

Powiastka ta, stosowna dla dzieci od lat trzech do pięciu, stanowi bardzo wdzięczny obrazek, mający na celu obok rozrywki udzielenie dzieciom niektórych wiadomości z zoologii (pożywienie żab, zmysł samozachowawczy).

Toci ukazuje się wróżka i wymierza dziewczynce surową karę za marnowanie kwiatów. Prowadzi ją do swego królestwa, gdzie obok najpiękniejszych okazów flory leżą stosy pozrywanych i zwiędłych płatków i liści. Tocia własnoręcznie zszywa igiełką przy pomocy nitki pajęczej każdy zerwany naprożno kwiatek. Pokuta trwa lat pięć. Był to sen czarodziejski, pięciominutowy, po którym następuje powrót do rzeczywistości i zupełna poprawa.

W *Historyi o młodym juhasie i starym dziadku* autorka zachwala dwie cnoty: bezinteresowność i dotrzymanie raz danego słowa. Młody juhas, którego bieda wygnała z chaty ojcowskiej, puszcza się w świat za zarobkiem. Ale niełatwo go znaleść: Wszędzie powiadają mu, że więcej jest robotników niż roboty, że zwłaszcza w zimie darmozjadów pełno. Nareszcie spotyka juhas ślepego staruszka, który przyjmuje go do siebie na ciężką służbę za bardzo skromnem wynagrodzeniem (trzy ziarnka grochu). Wymógł przytem na chłopcu obietnicę, że umowy rocznej nie zerwie, choćby mu inni złote góry obiecywali. Jakoż młody juhas wszystkie pokusy zwalcza i służbę przy staruszku pełni sumiennie. Po roku wraca do domu, z pozoru ubogi, lecz w gruncie rzeczy bogaty, bo owe trzy ziarnka grochu miały moc czarodziejską, dzięki której cała rodzina zażywała odtąd dostatku.

Z „*Czarodziejskiej kukułki*" dowiadujemy się, że mała Renia przyczynia dużo smutku swej nauczycielce, ukochanej pannie Maryi: jest nieposłuszna i nieporządna. Z tych wad leczy ją skutecznie sen, w którym dziewczynka poznaje z przerażeniem skutki swego postępowania: panna Marya zniechęcona, odjeżdża; zabawki, książki, kajety porozrzucane, z różnych kątów pokoju podnoszą się niby żywe i robią wyrzuty Reni za złe obchodzenie się z niemi. Zrana kukułka (w zegarze) budzi dziewczynkę, jakby odrodzoną. Przykry sen zmienił się w miłą rzeczywistość. Renia sprząta czemprędzej zabawki, układa książki; panna Marya nie ma zamiaru odjeżdżać, ucieszona nagłą poprawą dziewczynki.

W powiastce p. t. „*Duże i małe*," którą przeznaczyć wypada dla dzieci od lat 12, rozwija autorka następujące myśli: drobne uczynki odpowiadają wielkim dziełom; skromność i pokora wzmagają wartość czynu, miłość powinna być główną pobudką wszelkiej czynności.

Autorka przeciwstawia tu charaktery dwóch sióstr-boginek: młodsza — cicha, skromna i pokorna, pełni czyny, które jej dyktuje współczucie dla niedoli bliźnich i dobroć serca: starsza — dumna i zarozumiała, sięga wyżej, chce być bohaterką. Gdy więc pierwsza kosi zboże, wyręczając znużonego starca, ratuje maleńką muszkę tonącą, tuli płaczące niemowlę, zastępując mu matkę, zajętą w polu, pomaga ubogiej kobiecie przenieść wielki pęk suchych gałęzi do chaty, — starsza wydobywa z fal okręty, pełne ludzi, dopomaga oblężonym w gromieniu wroga, niewidzialną dłonią podaje kule i kieruje strzałami.

Powiastki panny Chrząszczewskiej odznaczają się nietylko zajmującą treścią, ale nadto pięknym i potoczystym językiem.

Pożegnawszy świat wróżek, elfów i boginek, stajemy w bec gromadki dzieci, pospolitych wprawdzie, ale żywych, prawdziwych. Zabawy, naprędce zorganizowane, ucieszne przygody, jakie im towarzyszą, wady najczęściej spotykane wśród dzieci, nareszcie zwyczaje niektórych zwierząt, dobrze znanych, — dostarczają p. Weryho, autorce książeczki p. t. *W lecie*, wątku do szeregu powiastek (21), przeznaczonych dla najmłodszych dzieci, t. j. od lat 3 do 7. Pełną humoru jest powiastka pt *U Kazia na wizycie*. Chłopcy naprędce uzbrojeni, walczą mężnie przeciw Japończykom (kury), Chińczykom (kaczki), Indyanom (indyczki). Wobec jednak groźnej postaci indora odwaga pierzcha... a pierwszy przykład ucieczki daje sam dowódzca, Stefek. Podobna treścią i humorem jest powiastka pt. *Tomek myśliwy*. Chłopczyk wybrał się w pole na polowanie, ale nie mogąc nigdzie napotkać zwierzyny, idzie do lasu. Tam z przerażeniem spostrzega.. wilka, a właściwie niewinne cielę, które goni odważnego Tomka aż do samego domu, zapewne spragnione zabawy.

Do najpiękniejszych powiastek zaliczyć wypada *Anusię*, ubogą dziewczynkę, której gorące modły o zdrowie matki usłyszał anioł pocieszyciel. Powiastka *O małym Polusiu* jest opowiadaniem wyjętem z ust pewnego chłopczyka. W dzień pochmurny i dżdżysty Poluś musi zostać w mieszkaniu, przykrzy mu się okropnie, ale tatuś pociesza go nową zabawą: puszczaniem baniek z mydła. Teraz deszcz może sobie ciągle padać! — kończy filozoficznie chłopczyk.

Wszystkie inne powiastki są również dobrze dobrane. Wydanie obu książek jest bardzo staranne, a cena niska. *Czary nie czary* oprawione kosztują 1·30 ct, a *W lecie* oprawione 90 ct.

Głosy publiczności.

Ofiary na odbudowanie spalonego kościoła w Żurowie w dalszym ciągu złożyli: Urzędy parafialne obrządku łacińskiego: w Rożniatowie zł. 15, w Jazłowcu 14.50, w Martynowie nowym 13, w Bukaczowcach 10.61, w Janowie koło Trembowli 4.58, w Draganówce 3.05, w Kościejowie 3, ks. infułat Kerschka w Stanisławowie 20, Roman Morgenstern, rotmistrz dragonów w Monasterzyskach, 5; Mohilowscy z Podola 10, Kanstant. Gawlikowscy z prośbą o odprawienie mszy św. za zmarłych krewnych 5, Anna Eisenberg 3, córka jej Stefania 1, Aleksander Jedliński ze Lwowa 3, ks. Gwoździowski z Petlikowiec 4, A. Cz. z Bochni 1, J. K. ze Stanisławowa 1, Adalberta Keller 1.50.

Wszystkim P. T. łaskawym ofiarodawcom składa komitet kościelny serdeczną podziękę za ich miłosierne datki i w pokorze uprasza o dalszą w tym względzie pomoc, a Bóg wszechmogący, który powiedział: „Miłosierni miłosierdzia dostąpią", sowicie im to wynagrodzi, o co Go podpisany z parafianami codziennie błaga. *Ks. Wincenty Bąkowski*, prob. i przew. kom. w Żurowie p. Żurów. Żurów dnia 5 grudnia 1895.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 7 grudnia.

(Z.). Pomimo, że likwidacya miesięczna przeszła gładko, a czarna tablica wciąż jest pusta, przedstawiała giełda nasza dziś bardzo smutny obraz. Spekulanci są wciąż jakby wystraszeni, a życia na targu nie ma żadnego.

Politycznemu zaniepokojeniu przypisać tego nie można, gdyby bowiem ono naprawdę istniało, to renty nie okazywałyby tak niewzruszenie silnej tendencyi jak obecnie i nie rosłyby w cenie. Wiadomo przecież wszystkim, że w chwilach, gdy równowaga europejska jest zagrożona, renty spadają, pomimo, że wierzyciele mocarstw mają wszelką pewność, że kupony ich będą w terminie wypłacone. Czemuż zatem przypisać należy to, że pomimo, iż akcya ratunkowa powiodła się i nibyto normalne stosunki na giełdzie nastały, nic nie jest w stanie jej rozruszać? Oto temu, że kapitaliści kupują dziś tylko renty a nie mają zaufania ani do akcyi bankowych, ani do walorów przemysłowych, ani w ogóle do żadnych papierów spekulacyjnych. Dziś oddziaływała fatalnie także ta okoliczność, że skutkiem burzy była dość długo przerwana komunikacya telefoniczna z Berlinem, wreszcie i podrożenie monet złotych oddziaływało także ujemnie na tendencyę targu.

Prawie od samego zamknięcia targu mieliśmy stagnacyę kompletną, a kursa spadały, dopiero w ostatniej godzinie, gdy przywrócono połączenie z Berlinem i sygnalizowano stamtąd kursa lepsze od naszych, wyrównano tę różnicę, ale w każdym razie ostateczny rezultat jest na całej linii negatywny. Poprawiły się w kursie tylko obie renty złote, co jest naturalnem następstwem podrożenia waluty.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 372·25, węgierskie 438·50, Anglobanki 166·50, Uniony 315·—, Bankvereiny 148.50, Länderbanki 245·50, Ludwiki 218·50, Czerniowieckie 290·—, Elbethale 272·—, Renta papierowa 100·25, srebrna 100·35, austryacka złota 121·95, 4% austr. renta wal. kor. 99·90, węgierska złota 121·70, 4% węgierska renta wal. kor. 98·55, dukat 5·74—, 20-frankówka 9·67½, marki 11·92, ruble 1·30½.

§ **Targ na nierogaciznę** w krakowskim zakładzie obserwacyjnym. Kraków 7 grudnia 1995. Ruch targowy z dnia 6 grudnia. Przypęd 3390 sztuk. Notowano: para żywych prosiąt —.— zł., mięsne 34—39 zł. za klgr. żywej wagi. Załadowano do krajów monarchii 3291 sztuk.

Telegramy „Przeglądu".

Wiedeń 9 grudnia. Koło polskie na wczorajszem posiedzeniu uchwaliło wysłać deputacye: do ministra rolnictwa z prośbą o przyśpieszenie regulacyi rzek w Galicyi i do ministra wojny z prośbą o udzielanie dostaw dla armii krajowym rzemieślnikom i przemysłowcom. P. Struszkiewicz żalił się na trudności, jakie bank austro-węgierski robi powiatowym kasom oszczędności w reeskontowaniu ich weksli i udzielaniu im kredytu. Uchwalono podjąć w tej mierze interwencyę u władz kompetentnych. Sprawą przemysłu młynarskiego postanowiono zająć się na jednym z najbliższych posiedzeń.

Następnie przeprowadzono poufną debatę nad referatem p. Dawida Abrahamowicza o reformie podatkowej i nad stanowiskiem, jakie ma zająć Koło polskie w jeneralnej debacie budżetowej.

Londyn 9 grudnia. Do „biura Reutera" donoszą z Konstantynopola, że policya turecka, chcąc zapobiedz ucieczce byłego wielkiego wezyra Saida baszy, który schronił się pod opiekę ambasady angielskiej, strzeże pilnie całego otoczenia tej ambasady, tak, aby mogła pochwycić Saida, gdy tylko z gmachu tego na krok wyjdzie. W nocy łodzie tureckie okrążają stojące tu na kotwicy okręty angielskie, gdyż policya turecka obawia się, że Said basza schroni się na jeden z tych okrętów. Ambasador angielski Currie zaprotestował energicznie u Porty przeciw tym zarządzeniom.

Berlin 9 grudnia. Cesarz Wilhelm nadał profesorowi Menzlowi z okazyi jego ośmdziesięcioletniego jubileuszu godność rzeczywistego tajnego radzcy z predykatem „Excelencya", zaś cesarz Franciszek Józef nadał jubilatowi odznakę honorową „litteris et artibus".

Porto Ferrajo 9 grudnia. Na wybrzeżu tutejszem szalał straszny cyklon. Okręt hiszpański stojący tu na kotwicy, rzucony został tak gwałtownie o skałę, że roztrzaskał się. Załogę jego uratowano.

Konstantynopol 9 grudnia. Onegdaj odbyli ambasadorowie mocarstw europejskich znów wspólną konferencyę.

Większa część zbuntowanych Druzów oświadczyła gotowość poddania się.

Bukareszt 9 grudnia. Przy wczorajszych wyborach do izby deputowanych z pierwszego koła wyborczego wybrano 3 konserwatystów, a 72 liberałów.

Madryt 9 grudnia. Prefekt tutejszy pozwolił na urządzenie wielkiego zgromadzenia ludowego na „Prado" celem obrad nad środkami mającymi być przedsięwziętymi celem położenia tamy niesłychanej sprzedajności radzców miejskich i ogromnym nadużyciom popełnianym w zarządzie gminnym Madrytu, ale zabronił wszelkich zbiegowisk na ulicach. Cały garnizon skonsygnowano.

Londyn 9 grudnia. Do „biura Reutera" donoszą z Konstantynopola, że gdy sułtan wczoraj po Selamliku wychodził z meczetu, człowiek jakiś ubrany po turecku, przedarł się przez kordon żołnierzy i trzymając jakieś pismo w ręce przypadł aż do powozu sułtana. Uwięziono go bezzwłocznie. Sułtan przestraszył się bardzo i zbladł. Nie wiadomo dotychczas, co zawierało pismo owego Turka.

Wiedeń 9 grudnia. Wczoraj wieczorem odbył się u nuncyusza Agliardiego wielki obiad, na którym byli księża kardynałowie Gruscha Sembratowicz i Haller, oraz obaj papiescy ablegaci. Haller odjeżdża dziś wieczorem do Salzburga.

Kostantynopol 9 grudnia. Onegdaj w nocy znaleziono w mahometańskich dzielnicach mnóstwo plakatów z odezwą, oskarżającą cały dzisiejszy system rządowy w Turcyi i wzywającą do zjednoczenia się wszystkich ulemów, żołnierzy i urzędników bez różnicy religii i narodowości, do wysłania deputacyi do gubernatorów prowincyonalnych i do Porty i do wezwania ich, ażeby podano do wiadomości publicznej życzenia ludności państwa osmańskiego.

Autorowie tej proklamacyi oświadczają, że nie dążą ani do rzezi, ani do powstania, że nie robią żadnej różnicy między chrześcijanami a muzułmanami, lecz żądają tylko, ażeby na czele rządu postawiono mężów znanych z ludzkiego sposobu myślenia, popularnych, uczciwych i zdolnych. Kończy się zaś ta proklamacya dosyć niejasną pogróżką, co się stanie wtedy, gdy nie zostanie spełnione żądanie, iżby ludność kraju brała udział w pracach rządowych. Podpis na plakatach brzmi „Ottomański komitet postępu i jedności." Uwięziono mnóstwo osób i przedsięwzięto militarne środki ostrożności.

Sofia 9 grudnia. Dzienniki donoszą, że prezes macedońskiego centralnego komitetu Tufekczijew zwołał kongres wszystkich lokalnych komitetów na 15 grudnia do Sofii.

Zapewniają, że rada ministeryalna ustaliła nowe propozycye, które przedstawi austro węgierskiemu rządowi za podstawę do rokowań o zawarcie traktatu handlowego, które mają się wnet rozpocząć.

Wiedeń 9 grudnia. Namiestnik Czech hr. Thun odjechał wczoraj wieczorem na swe stanowisko.

Kolonia 9 listopada, W Westfalii i w ogóle we wszystkich prowincyach nad Renem szalały ostatniemi dniami wielkie burze, a rzeki wystąpiły z brzegów. W okręgu Mühlhausen wyrządziła powódź ogromne szkody.

Monachium 9 listopada. Prawie wszystkie rzeki w Bawaryi wystąpiły z brzegów. Komunikacya kolejowa jest w wielu miejscach przerwana.

Berlin 9 grudnia. Tymi dniami ogłoszona zostanie nominacya prezydenta rządu krajowego w Düsseldorfie barona von der Recke ministrem spraw wewnętrznych.

Berlin 9 grudnia. Cesarz przyjął dymisyę ministra spraw wewnętrznych Köllera, pozostawiając mu nadal tytuł i charakter ministra stanu, nadto nadał mu order czerwonego orła pierwszej klasy. Ministrem spraw wewnętrznych zamianowany został prezydent von der Recke z Dusseldorfu.

Wiedeń 9 grudnia. Na porządku dziennym dzisiejszego posiedzenia stała na pierwszem miejscu jeneralna debata nad budżetem. Wszelako na prośbę prezesa komisyi budżetowej wzięto naprzód pod obrady wnioski Tauschego, Bauera, Pacaka i Purkhardta o zasiłki dla ludności okolic nawiedzonych klęskami elementarnemi i bez debaty przyjęto wszystkie wnioski referentów Meznika i Kathreina.

Następnie załatwiono kilka petycyi o zasiłki i przekazano je rządowi do uwzględnienia, przyjęto w trzeciem czytaniu ustawę o inspektorach górniczych i dopiero potem rozpoczęto jeneralną debatę nad budżetem.

Do głosu zapisało się bardzo wielu posłów. Pierwszy zabrał głos *contra* p. Stransky.

HOTEL IMPERIAL.
KRZYSZTOF JANOWICZ
Lwów — ul. Trzeciego Maja l. 3.

Przyjechali dnia 8 grudnia. J. ks. Puzyna z Narola. T. hr. Stadnicki z Gumnisk. M. hr. Rey z Bukowiny. E. Krzysztofowicz z Bukowiny. A. Wiesiołowski ze Sniatyna. Dr. W. Rosenheck ze Śniatyny. Dr. Weiss, A. B. Abeles i A. Schuschny z Wiednia. B. Elbert z Rosyi. A. Łuszpiński z Chyrowa. Fr. Dubs z Gracu.

HOTEL ŻORŻA.
Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 8 grudnia. J. hr. Łubieńska z Krakowca. F. Scazighino z Przewoźca. A. hr. Wodzicki z Olejowa. F. br. Romaszkan ze Stanisławowa. M. Tuscanowski z Oskrzesiniec. O. Schnell z Firlejówki. M. Zaleski z Podola ros. M. hr. Giżycki, J. Stankiewicz, St. Sienicki i J. Sawicki z Wołynia. N. Gołaszewski z Toustobab. M. Morozińska z Polski. M. Martynowicz z Dornowatry. F. Gawlikowski z Wiednia. J. Fekete-Belafalva z Czerniowiec.

NADESŁANE.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Lwów dnia 9 grudnia, (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł m. k. 217 — do 221 —, Kolej Lwowsko-Czern.-Jasska po 200 zł. w. a. 290.— do 295 — Banku hypotecznego po 200 zł. w. a. 415.— do —.— Akc. garbarni w Rzeszowie po 200 zł w. a. 200.— do 20[illegible].—. Tow. budowy wagonów w Sanoku 250 — do 260.—.

Listy zastawne za 100 zł.: Banku hipotecznego 5 proc. los. w 40 lat 5 proc. z 10 proc. prem. 109·50 do 110·30, 4 i pół proc. los. w 50 lat. 100 — 100·70 Banku kraj. 4 i pół. proc. los. w 51 lat 100·20 do 10[illegible]·90 Banku kraj. 4 proc. los. 57 lat 97·50 do 98·20 Tow. kred. zł. ziem. 4 proc. (I emisya) 97·50 do 98·20 4 proc. los. w 41 i pół latach 97·50 do 98.20 4 proc. los. w 56 lat 97·50 do 98·20

Obligi za 100 zł.: Gal. fund. propinacyjnego 4 pr. 97·10 do 97·80 Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 100·25 do —.— Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 102 — do 10[illegible].70 Pożyczki kraj. 6 proc. 105.— —.—, 4 i pół proc. 100.— do 100.70, 4 proc. z r. 1891 96·70 do 97·40. 4 proc. po —.— koron z roku 1893 96·70 do 97.40

Monety Dukat cesarski 5·68 do 5.78, Napoleondor 9·58 do 9.68 Półimperyał 9.70 do —.—, Rubel rosyjski papierowy 1·29 do 1.30 100 marek niemieckich 59.20 do 59·70.

51).

MAFFIA

POWIEŚĆ
przez
G. Le Faure'a
(Tłumaczenie baronowej Zofii Hartinghowej).

(Ciąg dalszy).

— Ależ podobny!... — ciągnął dalej. — Ta sama twarz... rysy tylko bardziej zgrubiałe. Lecz to jego oczy... te oczy takie głębokie i smutne przejmującym wyrazem cierpienia, który się coraz więcej potęgował w czasie śledztwa. To też co mnie zbija z tropu, to nie brak podobieństwa, tylko obecność jego w tem miejscu, gdzie i ona... Żebym go spotkał na Kamczatce, albo na Ziemi Ognistej, nie wahałbym się ani chwili... Lecz tu...

I skręciwszy świeżego papierosa, coś piętnastego z rzędu, przytknął go do ust, lecz w jednej chwili cisnął o ziemię, bo spostrzegł Hutnika wychodzącego z willi pani Smither. Rzucił srebrną monetę na stół i wybiegł pośpiesznie na ulicę, nie wiedząc jeszcze, czy wprost zaczepi nieznajomego, aby zaspokoić trawiącą go ciekawość, czy też śledzić go będzie z daleka, aby się przekonać, jaki on też udział bierze w sprawach rodziny Smither.

Idąc prawie na równi z Hutnikiem po przeciwległym chodniku, Jaunet przypatrywał mu się bacznie i coraz większego nabierał przekonania, że nie omylił się, biorąc go za znajomego z lat dawnych.

— No, no!... — radował się w duchu — a to nieprzewidziana komplikacya! Gotów jestem wyciągnąć na jaw śliczną intryżkę i przysporzyć roboty panom dziennikarzom, a sobie zrobić nielada reklamę.

I ucieszony szedł dalej, nie spuszczając oczu z Hutnika, który podążał przed siebie przyśpieszonym krokiem człowieka, któremu pilno do domu i który się nie domyśla, że go ktoś szpieguje

Okrążywszy bogate dzielnice miasta, wkroczyli na ubogie i ludne przedmieścia, a Jaunet, którego nogi zaczynały już boleć, zapytywał siebie z niepokojem, czy owo indywiduum nie mieszka gdzieś na końcu świata.

Noc zaczynała zapadać, a nie znając miasta, agent nie miał wielkiej ochoty puszczać się w podejrzane okolice jedynie w celu zaspokojenia płonnej swojej ciekawości. Zdecydował się więc zawrócić z drogi, gdyby pościg miał jeszcze potrwać długo.

Hutnik tymczasem zapuścił się w jedną z tych krętych, wydłużonych uliczek, wijących się wężowato wśród ponurych i złowrogo wyglądających domów przedmieścia Związku. Ze względu na jej wązkość, Jaunet zmuszony był iść śladem wyprzedzającego go człowieka, co mu nie było bardzo na rękę. bo Hutnik musiałby chyba być niewidomy, żeby nie spostrzegł, iż go śledzono.

Na wszelki wypadek przezorny policyant wsunął rękę do kieszeni, dotykając kolby rewolweru, aby dodać sobie odwagi.

W chwili, gdy Jaunet przesadzał cuchnący ściek, aby wpaść w kałużę pełną nieczystości, Hutnik zatrzymał się nagle z nosem przytkniętym do ściany, zdając się z trudnością oryentować wśród niskich i wąziutkich drzwi, stanowiących przystęp do brudnych i pękatych ruder, na pół wrosłych w ziemię. Agent zawahał się chwilę, podejrzywając jakąś zasadzkę; że jednak Hutnik nie patrzył w jego stronę, bał się zatrzymać, albo cofnąć, żeby się nie zdradzić.

Szedł więc dalej, pogwizdując, i już mijał Hutnika, wciąż twarzą przypartego do muru, gdy ten, obróciwszy się nagle, wymierzył mu w czoło potężne uderzenie pięścią.

Nieszczęśliwy agent, zaatakowany tak z nienacka, ciężko potoczył się na ziemię, nie wydawszy nawet jęku.

Hutnik roześmiał się głucho i, zwracając się do leżącego bez ruchu, rzekł:

— Podpatrywanie jest brzydką rzeczą.

I tonem zadowolnienia dodał:

— Taka pięść więcej warta od sznura, bo ten może się urwać, a ona nigdy nie zawiedzie; lecz gdyby mi ten poczciwy pan Nicholls kazał tak po kolei tępić wszystkich tych łotrów z Maffii..

Nie dokończył zdania i przesadziwszy krokiem tego, którego już uważał za trupa, szedł dalej, gdy nagle zatrzymał się, słysząc cichy jęk za sobą.

— Jeszcze mu tego było mało — mruknął.

I już podnosił żylastą dłoń, aby biedaka dobić, gdy raptem zawahał się. Hutnik był odważny, jak lew, lecz przeświadczenie właśnie tej odwagi i siły muskularnej, jaką był obdarzony z natury, nie dozwalało mu znęcać się nad bezbronnym przeciwnikiem, powalonym o ziemię.

Coś się w nim wzdrygnęło na myśl zadania mu ostatecznego ciosu.

Z drugiej strony jednak czy roztropnie było darować życie człowiekowi, który szpiegował go od bramy willi Smither i którego mocno podejrzywał o udział w Maffii?

Od dnia, w którym pan Nicholls odwiedził go w leśnym szałasie, raz jeden tylko widział się z nim; naczelnik policyi zalecił mu wielką rozwagę w działaniu, najmniejsza bowiem nieostrożność mogła zepsuć sprawę. A tu, jak się zdawało, maffiści zwietrzyli jego stosunek do miss Smither, co mogło w niwecz obrócić wszystkie plany Rajmunda d'Etrillaca. Dla tego to Hutnik, który w innych okolicznościach byłby sobie drwił z osobistego niebezpieczeństwa, czuł się w obowiązku odstąpić od zasad pokojowych i użyć przeciw Jaunetowi niepospolitej siły swoich muskułów.

Gdyby szpieg padł był trupem od pierwszego ciosu, Hutnik nie uczułby żadnych wyrzutów sumienia. Wydał przecie walkę Maffii, z góry więc przewidywał, że ofiary muszą padać. Lecz ten człowiek oddychał jeszcze, a patrząc na niego, zahartowany włóczęga leśny doznawał tego samego uczucia litości, jakie w nim wzbudzał zawsze widok ranionego śmiertelnie jelenia lub dzika, dyszącego ostatkami życia na murawie leśnej.

Pochylił się więc nad nim, popatrzył i, schwyciwszy go obiema rękoma, uniósł w górę tak lekko, jakby nie był ważył więcej od piórka.

— Nie ciężki przynajmniej! — mruknął.

Jaunet nie przestawał jęczeć. Hutnik stał ze swoim ciężarem w środku ulicy, wahający się, i zaczynał już żałować, że się dał unieść litością. Lecz po chwili kiwnął głową.

— Ha! nie ma rady — rzekł. — Wejdźmy do pierwszego lepszego szynku. Tam przynajmniej zobaczę, co to za ptaszek, a jeżeli już ma umierać, niechże więc nie zdycha w rynsztoku, jak pies.

O jakieś kilkadziesiąt kroków opodal zawieszona nad drzwiami latarnia wskazywała gościnne schronienie, w którem można było upić się na śmierć, bez obawy interwencyi ze strony władz miejscowych. Hutnik więc skierował się w tę stronę, kopnięciem nogi otwarł drzwi i wszedł.

W izbie panowała duszna atmosfera, przesiąkła dymem tytuniowym i wyziewami alkoholu. Hutnik zbliżył się do pustego stołu w kącie i złożywszy wciąż nieprzytomnego agenta na ławie, rozkazał gospodarzowi, który podszedł do niego, aby mu podał blaszankę whisky. Tymczasem przy bladem i migocącem świetle zwieszonej od góry lampy naftowej, począł się przyglądać rysom swojej ofiary.

— To dziwne — zastanowił się. — Nie ma wcale miny łotra.

I ze skrytem niezadowolnieniem dodał:

— Brzydko go urządziłem.

Istotnie żelazna pięść Hutnika, uderzając niby młotem w nieszczęśliwego, rozmiażdżyła mu czoło; z pod pękłej skóry wyglądała kość.

Hutnik odetchnął swobodniej.

— Omdlał tylko — szepnął sam do siebie.

A po chwili dodał, hartując się przeciw nierozważnej litości:

— Może to i źle...

Naraz wydał stłumiony okrzyk, bo oczy jego padły na pierścień z szafirem i brylantem, który widział niegdyś na palcu miss Smither.

— Co to może znaczyć? — pomyślał, gubiąc się w przypuszczeniach.

Wziął bezwładną rękę w swoje dłonie, obejrzał klejnot uważnie i dodał:

— Tak, to ten sam... Nie ulega wątpliwości.

Głęboka brózda wystąpiła mu na czoło.

— Cóż u licha — zaklął — czyżbym się pomylił?

I mocno zafrasowany zaczął wódką rozcierać skronie rannego, który pod wpływem ciepła zwolna otworzył powieki, potem zamknął je znowu, kołysząc w prawo i w lewo ociężałą głową, jakby dla uśmierzenia nieznośnego bólu, jaki musiała mu sprawiać rana.

— I cóż... nic nie lepiej? — zagadnął po chwili Hutnik.

Za całą odpowiedź policyant wydał głośniejszy jęk, potem usta jego spiekłe rozchyliły się i głosem cichym, jak tchnienie, szepnął:

— Marchand!...

Hutnik, słysząc to, tak gwałtownym ruchem rzucił się w tył, że ręce jego puściły ciało Jauneta, które, nie podtrzymywane, runęło z ławy na ziemię. W tym upadku głowa nieboraka uderzyła o kant drzewa i z głuchym łoskotem legła na podłodze. Jaunet jęknął i znowu leżał jak martwy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor odpowiedzialny, Wacław Masłowski. Papier z fabryki Czerlańskiej. Z drukarni nar. W. Manieckiego. Zarządca W. Hodak.